

8484

2 wrot

WACŁAW KARCZEWSKI

LISKÓW

DZIEJE JEDNEJ WSI POLSKIEJ

WYDAWNICTWO
WYSTAWY „PRACA I KULTURA WSI” w LISKOWIE

<http://rcin.org.pl/ifis>

W A C Ł A W K A R C Z E W S K I

8484

LISKÓW

DZIEJE JEDNEJ WSI POLSKIEJ



1 9 3 7

WYDAW. WYSTAWY „PRACA I KULTURA WSI” W LISKOWIE

<http://rcin.org.pl/ifis>

SEMINARIUM SOCJOLOGICZNE
Uniwersytetu Warszawskiego



8484

H-122235

Drukarnia »Powściągliwość i Praca« w Krakowie

<http://rcin.org.pl/ifis>

CZĘŚĆ I-SZA

POD BERŁEM BIAŁEGO CARA

* * *

Komitet Wystawy, mającej się odbyć w Liskowie w środku lata bieżącego roku, postanowił wydać książkę, odzwierciadlającą od pierwszych zrębów, kładzionych pod instytucje liskowskie, aż po ostatnie miesiące — historie powstania zjawiska społecznego, jakim bezsprzecznie jest Lisków. Zjawiska ważącego wiele nawet w naszych, do gruntu zmienionych warunkach: społecznych, politycznych, ekonomicznych i kulturalnych. W dziejach ruchu odrodzieńczego, szczególnie w dziejach wsi polskiej w znaczeniu zbiorowym, jako środowiska przeważającej liczebnie warstwy narodu, nie biorącej w przeszłości w życiu publicznym udziału, a przynajmniej nikły w stosunku do swojej liczebności — zajmuje Lisków, — by nie wpaść w panegiryczną przesadę — jedno z czołowych miejsc; a jego twórca i organizator, ks. Wacław Bliziński, obok ks. Wawrzyniaka, obok wielu innych działaczy, dobrze się zasłużył społeczeństwu i krajowi.

Lisków do dziś dnia spełnia swoją rolę dydaktyczno-wychowawczą; zasięg jego wpływów wśród polskiego chłopca, na kształtowanie się stosunków ekonomicznych nie osłabł, nie stracił na sile przy-

ciągającej. Owszem, przychylne okoliczności, do których należy najważniejsza — niepodległość polityczna narodu, — wzmogły dorobek do rozmiarów nie spodziewanych zapewne, w zaraniu wysiłków twórczych skromnego wówczas proboszcza zakazanej dziury; mającego do pomocy garść szczupłą ludzi, przeważnie chłopów, z przymieszką paru inteligentów nie wzdragających się pójść razem; boć nie zaszczyty oczekiwały działaczy ówczesnych. Przeważnie czekał ich żandarm, lub myszkujący stupajka¹⁾ carski, rad zabłysnąć przed „naczalstwem“²⁾ gorliwością.

Komitet Wystawy zaszczycił mnie propozycją napisania takiej książki, co zawdzięczać mogę zapewne nie mojemu dorobkowi literackiemu, ile okoliczności, iż od szeregu lat bezpośrednio obserwuję życie tej wyjątkowej wsi, w jego przejawach radosnych i smutnych; jej powodzenia i kłopoty codzienne. Ta też okoliczność ułatwia mi operowanie materiałem, tyjącym się historii trzydziestu sześciu lat Liskowa.

Ma on już swoją dość bogatą literaturę: monograficzną — w postaci trzech większych broszur; publicystyczno-dziennikarską, rozsypaną po najrozmaitszych dziennikach i periodykach fachowych i literackich, tak krajowych jak i zagranicznych.

Pierwsza książka o Liskowie, p. t. „Wieś Lisków“, pióra p. Marii Moczydłowskiej, późniejszej posłanki, ukazała się przed wielką wojną, w roku 1913. Lisków miał już za sobą poważny dorobek

1) Stupajka — szydercze miano ruskiego policjanta.

2) „Naczalstwo“ — władza.

kulturalno-ekonomiczny, a jego twórca niemniej poważne mankamenty, zakarbowane w aktach rosyjskich władz. Widocznie dlatego władze ciężką ręką cenzora pokiereszowały tekst broszury p. Moczydłowskiej; tępy czynowniczy¹⁾ dopatrzył się w nich „skwiernawo naprawlenja mysliej“²⁾.

Druga praca, p. Anieli Chmieleńskiej, p. t. „Wieś polska Lisków“, opatrzona ze swadą literacką i obznajmieniem z warunkami ówczesnymi napisanym wstępem nieżyjącego już mecenasa Radwana, wydana została z okazji wystawy zorganizowanej w Liskowie w roku 1925.

Trzecią wreszcie pracą, traktującą sam Lisków ubocznie, jako tło, była broszura autorstwa niżej podpisanego, wydana z okazji dziesięciolecia sierocińca w Liskowie; poza tym mnóstwo artykułów, notatek, opisów, felietonów i t. p. prac publicystyczno-literackich, dotyczących już to Liskowa, już osoby ks. Blizińskiego, lub poszczególnych instytucji. Wszystkie to stanowiło materiał do niniejszej książki.

Zdaje mi się atoli, że najważniejszym, zapładniającym umysł pierwiastkiem w każdej pracy tego rodzaju jest bezpośrednie wrażenie. Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi obejrzeć Lisków nie tylko od strony dekoracyjnej, zewnętrznej; mogłem rozejrzeć się nie tylko od „frontowego wejścia“ ale i „od kuchni“, wyrażając się obrazowo. Zapoznać się z ludźmi nie tylko stanowiącymi zespół pracowników, lecz i obserwatorami stojącymi zdala od sceny.

¹⁾ „Czynownik“, ogólne miano urzędnika, jednego z dwunastu stopni; „czyn“ — ranga.

²⁾ Złego kierunku myśli.

Prości ludzie: od pług i radła, młodzi i starzy, żywe kroniki parafii dzielili się ze mną swoimi spostrzeżeniami, wygłaszali swoje uwagi. Nie wiem, zdaje mi się iż były one szczerze; za szczerze je też przyjmowałem.

Taki naprzykład Majdański!... staruch zeschnięty jak grzyb, jak ten ktoś żrały oczekujący omlotu; o twarzy pomarszczonej, okolonej śliczną aureolą mlecznych włosów, patrzący na mnie dwojgiem przymglonych oczu, jeden z najciekawszych typów jakie spotkałem w życiu. Dziewięćdziesiąt i cztery lata deptał świętą ziemię. Niejedno widział, niejedno też mi opowiedział.

Ich opowieści stanowiły dla mnie uzupełnienie suchych liczb, treściwych artykułów, sumiennie opracowanych sprawozdań. Żywym słowem przedstawiali tamte czasy, czarne czasy i złe czasy: „za kacapa i za Niemca; kiedy to — opowiadał chłopina — „niewiada było czy człowieka leda ten dzień abo i w godzinę złą, nie poprowadzą „ciupasem“¹⁾ do urzędu za naszą z proboszczem robotę. Przetrzymaniśmy tych tam psubratów, — jednych i drugich, — bo kwardy jest nasz naród. Kwardy nasz proboszcz. Głowę też ma!...”

Zachtysnął się chłop podziwem nad proboszczową głową, by ciągnąć dalej: — Młodek był kiej do nas nastal; taka chudzizna, że batem-by go przeciął w pasie. Ano, Panajezusowa rączka go do nas przywiodła; widzi mi się co już z nami ostanie...

¹⁾ Pod eskortą, na piechotę.

Nie tudzę się, że książka ta wyczerpie temat któremu miano: Lisków; atoli mniemam, że wespół ze swymi poprzedniczkami, zawierającymi dużo starannie zebranego materiału, stanowić będzie przyczynek dla przyszłego historyka wielkich ruchów i przemian społecznych, w których pozycja: Lisków — zajmie niewątpliwie poczesne miejsce.

Bo Lisków to nietylko wieś wzorowa, to nietylko suma wysiłków ludzkich, zmaterializowana, w tylu a tylu lepiej lub gorzej prosperujących instytucjach. To — podkreślam z naciskiem — fragment wielkiego procesu dziejowego; fragment bardzo ładny, daleko swym znaczeniem przekraczający granice partykularza; budujący i znamienity. Punkt ciężkości spoczywa w znaczeniu wychowawczym nietylko samych instytucji, jako środowisk kultury, lecz w ujęciu, w realizacji zamierzeń — z kim zrobiono?!

A zrobiono to właśnie przy pomocy prostych ludzi, zwyczajnych chłopów. Umiano ich wciągnąć, zapalić, pokonać w nich ospałość pierwotniaka. Rozejrzyjmy się w materiale historiozoficznym, spójrzmy na twarze. Widzimy obok paru inteligentów, surowe, jakby z gruba wyciosane prostacze oblicza. Nazwiska nie arystokratyczne ani pańsko brzmiące przewijają się poprzez te sprawozdania, protokoły, bilanse i jak się to tam nazywa. Nie szukać ich ani u Niesieckiego ani u Paprockiego, tych Krychow, Szymonów Napadtków, Szczepanów Pawelców, Walisiów, Szewczyków, Janiaków, Ignaczaków i Sobczaków. Wspaniałe typy kmiecie, jakby żywcem wy-

jęte z odległych kazimierzowych czasów. Każdy z nich to chłop z dziada pradziada.

To właśnie najwięcej zastępuje na podkreślenie.

Okazuje się że jest w ludzie chęć do pracy, jest moc utajona, tylko trzeba umieć do niego podejść. Trzeba go nie bałamucić, a rzetelnie imać się dzieła; bez dąsów, bez taskawej wyniosłości. Ci chłopci razem z proboszczem przeżywali uniesienia radosne; razem nieśli krzyż pański prześladowań. Nie chce jednak apoteozować ich; były częste wypadki szkodnictwa, lecz nie w warstwowym właściwościach dozukiwać przyczyny zła, a w przeraźliwej ciemności chłopca, w jego przeszłości. Na ogół stanowił wdzięczne choć surowe tworzywo. Przystępując do pracy uważałem iż nie od rzeczy będzie odmalować tło polityczno-społecznych warunków bytowania narodu, dać przekrój stosunków, jakie panowały u schyłku dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku. Może ktoś powie: — Niepotrzebne; na to jest historia Polski! — Odpowiem mu:

— A wieluż ludzi nie zna jej, osobliwie wśród młodszego pokolenia wiejskiego? A wieluż z pośród starszych zapomniato? Bowiem aby poznać obraz oddały się odeń parę kroków; aby poznać i ocenić sprawiedliwie czyjś wysiłek, trzeba to czynić wzięwszy pod uwagę jego możliwości jakimi w danym momencie rozporządzał; tutaj należy wypadków nie mierzyć miarą dzisiejszą, lecz ówczesną, bardzo ponurą i, przede wszystkim, bardzo smutną rzeczywistością; brać odpowiednie proporcje.

Usiłowałem wiernie odtworzyć historie tych trzydziestu sześciu lat Liskowa, postępowania, krok

za krokiem wzwyż, póki nędzna dziura nie przeobraziła się w Lisków — Wspaniały. Bez poetyckich wzlotów, bez panegirycznych uniesień, pragnąłem dać pracę historyczną, mającą cztery przymioty, o których wspominał biskup smoleński ks. Naruszewicz: „zebranie rzeczy pilne, rozłożenie łatwe i porządne, krytykę mądrą, oraz ozdobienie gładkością pióra powabne“.

Miałem na myśli, pisząc tę książkę, nie wyłącznie przedstawienie w chronologicznym porządku zdarzeń, lecz aby spełniła ona główne swe przeznaczenie: uczyła, dodawała bodźca, szczególnie w dobie obecnej ciężkiego kryzysu, w momencie historycznym niestychanie trudnym: narastania konfliktów społecznych, a co za tym idzie — trudności rozstrzygnięć wielu, o, 'bardzo wielu kwestii.

Wacław Karczewski.

NA PRZEŁOMIE

Rok tysiąc dziewięćsetny zamykał tragiczny wiek dziewiętnasty: wiek walki narodu polskiego o niepodległość. Była ta setka lat jednym nieustającym pasmem udręczeń: pohańbienia godności narodowej, sponiewierania jego najszczytniejszych ideałów upokorzenia jego dumy, opartej na tysiącu lat pełnej chwały historii.

Trzy porywy: za Napoleona, (uwieńczony połowicznym wynikiem, w postaci Ks. Warszawskiego), rok 1831 i rok 1863 dostatecznie wyczerpały siły duchowe, fizyczne i materialne rozdartego narodu; nie licząc już ciosów w zaborze pruskim i austriackim. Jeśli chodzi o tak zwane Królestwo Kongresowe, to ostateczne ciosy spadać zaczęły po nieudalym powstaniu 63 roku. Jak z puszkii Pandory posyłały się nieszczęścia. Rząd rosyjski, przez ustanowiony „Uczreditielnyj Komitet“ pod przewodnictwem chytrego i przewrotnego Milutina, uwijał się z likwidacją nędznych resztek instytucji, świadczących o odrębności kraju. W roku 1869 zniósł Sekretariat Stanu oraz Radę Stanu. W roku 1875 krajem wstrząsnął dreszcz zgrozy i oburzenia: zlikwidowano unickie biskupstwo chełmskie, zaliczając automatycznie wszystkich wyznawców cerkwi unickiej do prawosławia. Rzadko w dziejach zdarza się podobny wypadek, aby brutalnie wydzierano milionom ich najistotniejszą własność, najistotniejsze i najosobistwsze dobro: wierzenia religijne. Co się przy tym działo?! Jakich dopuszczano się gwałtów, jakie bestial-

stwo święciło tryumf — niech o tym świadczy historia Krozów, gdzie gubernator, Niemiec inflancki, Klingenberg, w służbie carskiej, na czele kozaków, urządził w dniu 10 listopada 1893 roku katownię za obronę kościoła przez tłum; niech świadczy szereg niezliczony innych, niemniej tragicznych wypadków.

Carski rząd knutem zapędzał lud do cerkwi, a rozwyrzone kozactwo spełniało rolę misjonarza. Szereg biskupów zostało zesłanych na wygnanie, a mianowicie arcyb. warszawski, Feliński, do Jarosławia; w kilka lat potem biskup płocki Popiel do Nowgorodu, potem biskup augustowski, Lubieński. Dość powiedzieć, że ze wsiów: Karczówki i Olszanki, wysłano jedenaście rodzin unickich do gubernii chersońskiej za straszną zbrodnię... posiadania różańców i modlitwę na nich. W roku 1885 zamknięto Bank Polski, wybitną placówkę ekonomiczną. Rozhulała się krzywda na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Mało było jednak represji, mało węszenia za „kramolą“; ¹⁾ na wyżynach biurokracji carskiej przyjęto, jako podstawę postępowania, tezę: ²⁾ „dogłupić Polszu do urownja Rassiei“. Twórcą jej był osławiony Aleksander Apuchtin, ³⁾ zakamieniały wróg plemienia polskiego, dyszący jedną myślą: unicestwić wszelkie przejawy kultury polskiej. Wziął się do pracy z gorliwością, objąwszy stanowisko kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, tudzież Uniwersytetu Warszawskiego. Spełniał z lubością rolę żandarma dusz młodzieży polskiej, szpicla i stupajki carskiego. Prześcignął wszystkich i wszystko. A przecież i inni czynownicy, nie zasypiali gruszek w popiele. On górował nad nimi.

¹⁾ Szkodnictwem społecznem.

²⁾ Dogłupić Polskę do poziomu Rosji.

³⁾ Spoliczkowany w kwietniu 1883 roku, przez studenta Zuchowicza; wydalono wówczas z uniwersytetu warszawskiego 180 studentów.

Józef K. Potocki,¹⁾ autor głośnych swego czasu listów do księcia Uchtomskiego, w jednym z nich, w pełnych bolesnego oburzenia i temperamentu słowach charakteryzuje system: „Nienawidzimy mowy waszej, gdyż niema takiej podłości, którejby ona w płynne, dźwięczne słowa ująć nie mogła. Nienawidzimy jej za to, że zagładę kultury nazywacie w niej „ubiedzeniem“,²⁾ że urągowisko z tej zagłady zwie się „primirjenje“, (uspokojenie). Że anarchia bezprawia nazywa się właśnie u was „porządkiem administracyjnym“, odbieranie nędznych swobód własnemu ludowi — reformą; topienie starców i kobiet w Krożach — umirotworzeniem kraju“... (tworzenie błógięgo pokoju). Nie dziw więc, iż wobec takich warunków, społeczeństwo poddało się przygnębieniu, że coraz mocniej zdobywało sobie prawo obywatelstwa hasło zerwania z romantyzmem walk o niepodległość, ujawnione w kierunku filozoficznym, zrodzonym na Zachodzie a przeszczepionym do nas — pozytywizmie; trzeźwym ocenianiu sytuacji.

Pozytywizm natrząsał się z romantycznych marzeń o niepodległości politycznej, udzielał zbawienych rad, podjęcia „pracy organicznej“. A cóż to była ta praca „organiczna“? Pod pokrywką skierowania energii narodowej na drogę rozwoju ekonomicznego, kryła się wstydliwie ugoda, ożeniona z ściśle materialistycznym ujmowaniem zagadnień. Zwążono problem narodowy do ciasnych ramek wyłącznie gospodarczych. W ogóle jakiś niezdrowy wiatr powiał po Polsce. Szkoła historyczna krakowska (wykpiwa ją w podanym niżej wierszu A. Asnyk, poeta Kaliszanie), szerzyła pogląd o przyrodzonych wadach narodu, wytykając, że Polska straciła niezależność dzięki wyłącznie brakowi pierwiastków państwowotwórczych w psychice naszej. Strofowała ostro mejsjaniczne ujmowanie roli Polski. Ba, nawet wybitne

¹⁾ Redaktor „Głosu“, publicysta, literat, zaginął bez wieści. ²⁾ Zobowiązaniem.

osobistości świata konserwatywnego, wydały zbiorową pracę pod tytułem: „Teką Stańczyka“, chłopszczącą „nieodpowiedzialne pomysły i mrzonki“. Sam tytuł wskazuje jaką była myśl przewodnia dowodzeń. Mianowicie, wysuwanie szerokich zamierzeń, wiążących problemy polityczne narodu z problemami społecznymi, uważano za rzecz zdrową, godną sztydety, niczego więcej.

Obskurantyzm¹⁾ chodził w parze z ugodowością, zatapiającą niebotycznie wyższe ideały w haselku: „dorabiamy się“.

1) Adam Asnyk, rozprawił się z historykami krakowskiego autoramentu w satyrze „Historyczna nowa szkoła“.

„Historyczna nowa szkoła
Swą metodą badań ścisłą,
Sprowadzoną hurtem z Niemiec,
Rozpowszechnia ponad Wisłą,
I nabywszy pogląd świeży,
Nowym łokciem dzieje mierzy.
Nie chcąc popaść w dawne błędy,
Mesjanicznych, mglistych mrzonek,
Koło polskich sztywnych karków,
Okręciła swój postronek,
By zgiąć bytu żądzę dziką,
Przed dziejowych praw logiką.
Czcząc spełnionych faktów kolej,
I zwycięzców chytre godia,
Nie spostrzegła, że cześć siły,
Za daleko ją zawiodła,
I że z rąk jej rozbiór Polski,
Wziął chrzest misji apostołskiej.
W pełnem świetle jej dochodzeń,
Jasną gwiazdą lśni despotyzm,
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patryjotyzm...
Gdyż Kościuszkę to był warjat,
Co budował proletarjat!
I tak dalej... i tak dalej...
Coraz śmielsze wnioski przędzie,
I nicując dawne sądy
Nie powstrzyma się w zapędzie,
Aż dowiedzie, że król Heród,
Dobroczyńcą był dla sierót“.



<http://rcin.org.pl/ifis>

Sieroty przed pierwszymi »gmachami« Zakładu Opiekuńczo-wychowawczego w Liskowie.

<http://rcin.org.pl/ifis>

Ostatni dziesiątek lat miał przynieść zasadniczy zwrot w opinii. Ochłonięto potrosze z pierwszego wrażenia klęski. Zaczęła się zaznaczać reakcja, której początków należy szukać w drugiej połowie tego dziesiątka. A lubo znaleźli się naiwni, rokujący sobie coś po nowym carze, Mikołaju II, lubo przebąkiwano półgębkiem o jego dobrym usposobieniu do Polaków — przecież raz przebudzonej świadomości, nie mógł uspić „wspaniałomyślny“ gest młodego cara, zezwalający na wzniesienie pomnika Mickiewiczowi.¹⁾ Napłynęła powrotna fala wiary w możliwość głębokich zmian na lepsze.

Znamionowały ją drobne na pozór posunięcia: powstawanie placówek oświatowo-pedagogicznych, jak Pszczelina, Kruszynka i innych. Zrozumiano, iż między ludem szukać należy siły, mogącej wesprzeć mocnym ramieniem gmach narodowy.

A ten lud, dobitniej i wyraźniej powiedziałszy, chłop?!... Jaki był jego udział w historii ostatniego wieku, ostatnich lat? Z przykrością, z ręką na sercu musimy przyznać: prawie żaden. Okropne błędy stanowej Rzeczypospolitej, ciasny, źle pojęty interes jednej warstwy, wypchnął chłopą po za nawias spraw państwowych, wywarł szkodliwy w całym tego słowa znaczeniu wpływ na kształtowanie się stosunku chłopą do spraw ogólnonarodowych, opóźnił proces dojrzewania obywatelskiego. I nie można nawet mieć do niego pretensji, że pozostał na uboczu biernym — w lwiej części — świadkiem tragedii walki o niepodległość. Bo czymże on był w swej masie więcej, jak tylko liczbą, sumą sił roboczych.²⁾

1) Pomnik odsłonięto w milczeniu, pod... ochroną rot kozackich i dragonów.

2) Żołnierzom oddziału Markiewicza, w czasie powstania 63 roku, chłop zadał pytanie: — Czy to prawda, że tym Polakom idzie na pomoc trzech królów?

Przeraża poprostu co zrobiła z kilku milionów ludzi, takich samych Polaków jak wyższe warstwy niewola, odepchnięcie chłopą od spraw publicznych.

Szlachetne dążenia Kościuszki, jego wołanie o wolność i ziemię dla chłopą, spotkały się, niestety, z małym odzewem. W liście do Krakowskiej Komisji Porządkowej z dnia 7 maja, 1794 roku pisze:

„Najhaniebniejszą byłoby rzeczą... żeby lud u nich (t. j. u szlachty), zostawał w gorszym stanie aniżeli znajduje się w monarchicznych nawet rządach“.

Niestety, „zostawał w gorszym stanie aniżeli w monarchicznych rządach“. Konstytucja Księstwa Warszawskiego, nadana przez Napoleona, uznawała, owszem, wolność chłopą; ale taka to była i wolność!... „Wolność ptaka — powiada Grenwitz — który, gdy się rzuca na niego kamykami przelatuje z gałęzi na gałąź“. Zaś minister Badeni, człowiek bardzo powściągliwy w sądach, magnat ale rozsądny, dowcipnie scharakteryzował ową „wolność“: „...konstytucja (ks. warszawskiego), ściągnęła chłopu kajdany, ale z kajdanami i buty“... Bo rzeczywiście. Dano chłopu wolność, a panu ziemię. Rad nie rad, wracał z powrotem do dziedzica. Tam przynajmniej nie codzień miał baty, a codzień mógł nasycić głód swój i swoich dzieci. Zły los sprawił, że obcy, najezdca, regulował spory rodzinne, pomiędzy jedną a drugą warstwą jednego i tego samego narodu.

Rząd carski wykazał atoli, jak zawsze zresztą, przewrotność. Nie rozwiązał ostatecznie problemu. Nie, on wołał rozwlec operacje na lata, wołał by rana wiecznie jątrzyła, odsuwając tym samym proces zjednoczenia narodu, wszystkich jego warstw, pozostawiając węzeł serwitutów, łączący szlachcica, ściślej mówiąc ziemianina z chłopem — walką: o pasionki, o zbieraninę, o suszki i t. p. Bitki, procesy, swary, — oto jaki cel przyświecał rządowi, oto była metoda wychowywania sobie wiernych poddanych. Przeliczył się. Chłop w swej masie wytrzymał próbę i nie dał się złapać na plewę carskiej łaskawości: bitki z dworskimi o pasionki swoją drogą, a poczucie przynależno-

ści narodowej, swoją. Zapraszał „starszego“, ba, nawet zwykłego strażnika na wesele, chrzciny, lub inną uroczystość, lecz nie było tam ciepła, serca. Ot, trochę chęć ugłaskania bestii, dobrego współżycia z „urzędem“ którego reprezentantem był lubiący sobie podpić do „zielonawo zmieja“¹⁾ strażnik; trochę taki sobie wiejski snobizm dyktował te grzeczności. Starsi, bardziej pamiętliwi, mieli boja do panów; młódź, szczególnie już przetarta po świecie, wierzgała coraz śmieiej, coraz dokuczliwiej cuchnęli jej „dziegciarze“²⁾.

Bądź co bądź, ostatnie lata ubiegłego stulecia budziły na wsi refleksje na temat dobrodziejstwa carskich rządów. Czasy najgorszego upadku ducha przeminęły; powoli prężono karki, a równocześnie znaki na niebie i ziemi wskazywały nadciągającą burzę dziejową. Pierwsze jej pomruki, dalekie i głuche dolatywały już w roku 1900. W tym też roku, do zapadłej wioszczyzny powiatu kaliskiego, nastął jako proboszcz

KSIĄDZ WACŁAW BLIZIŃSKI

Nie czas jeszcze pisać obszerną biografię tego, obok ks. Wawrzyniaka, jednego z najwybitniejszych kapłanów współczesnych, o szerokim rozmachu działalności. Uczynią to w swoim czasie pisarze świeccy, uczynią napewno i duchowni; zresztą, powiedziawszy mimochodem, historia Liskowa to i historia tego „żywota pracowitego“. Poprzestanę na kilku szczegółach rodzinno-osobistych.

A więc urodził się w Warszawie, z ojca Mateusza i Magdaleny małżonków Blizińskich, dnia 28 lipca 1870 roku, tedy w dobie świeżych wrażeń po klęsce powstania 63 roku. Rodzina Blizińskich żyła

¹⁾ Aż mu się zielony smok przyśnił; określenie pijaków, Rosjan.

²⁾ Od dziegciu, narodowego rosyjskiego środka... dezynfekcyjnego.

pięknymi tradycjami, pieczołowicie pielęgnowanymi przez matkę szczególnie, osobę nawskroś przesiąkniętą zasadami chrześcijańskimi. Rycerskie to było ongiś gniazdo, ci Blizińscy; nie obce im były i krutki sądowne, gdzie stawali jako palestranci, wyprowadzając na czyste wody powikłane materie panów braci. Kilku sprawowało powiatowe urzędy, kilku poświęciło żywot na chwałę pańską, nie mieczem to modlitwą salwując miłą ojczyznę. Wspomina o nich ks. Kasper Niesiecki w swoim herbarzu: „Korona Polska przy złotej wolności starożytnymi rycerstwa polskiego y wielkiego Księstwa Litewskiego Kleynotami, najwyższymi honorami, horoicznym męstwem y odwagą, wytworną nauką, a naypierwey cnotą, popobożnością y świętobliwością ozdobiona, przez X. Kaspra Niesieckiego soc. Jesu, Roku Wolności ludzkiej przez Wcielonego Boga windygowanej 1740. 1)

Opuściwszy 3-cie warszawskie gimnazjum, młody Wacław wstępuje do seminarium duchownego w Włocławku. Kończy je w roku 1891, nie może być jednak wyświęconym na kapłana z przyczyny młodego wieku, musi na nie czekać rok, po którym, uzy-

1) W księgach grodu ostrzeszowskiego zapisane są wzmianki: „Florian Bliziński był pułkownikiem znaku husarskiego, miał czterech synów i jedną córkę. Ludwik Bliziński był wojskim winnickim, miał trzech synów i trzy córki, to jest: Józefa, podporucznika kawalerii narodowej, Tadeusza, takżę podporucznika kaw. nar., Antoniego, ten księdzem Piarem (zachowuje ówczesną pisownię autor) prefektem szkół tychże w Łowiczu, córkę Teresę zaślubioną za Janem Łaskim, komornikiem Łukowskim Brygidę, sterilis, (bezzenną) Franciszkę, która była za Wincentym Kuczyńskim, Anna zmówiona z Andrzejewskim, komornikiem chełmskim. Antoni Bliziński, który jest wojskim mniejszym krasnostawskim, ma kilku synów i dwie córki, lecz jeszcze wszyscy minores“, (małoletni), Józef Bliziński, sterilis, (bezzenny), Michał Bliziński, który miał za sobą Prażmowską, starościankę, o których potomstwie niema wiadomości“.

Z czasem w zawieruchach wojennych wyniszczało wszystko, substancja rozlaża się, pozostały tylko wspomnienia.

skawszy dyspensę z Rzymu (z uwagi na młody wiek), w dwudziestym drugim roku i 4 miesiącu życia otrzymuje święcenia z rąk ówczesnego ordynariusza, ks. biskupa Bereśniewicza. Pierwszą placówką kapłańską był wikariat w Cieszęcinie, gdzie zastępował chorego proboszcza. Niedługo tam bawił; rychło odwołano go do Włocławia, by objął wikariat w katedrze tudzież stanowisko sekretarza konsystorza generalnego i prefekturę w szkole rzemieślniczej. Szybkie wspinanie się po szczeblach, zawdzięczać może młodziutki ksiądz jedynie i wyłącznie własnym zdolnościom, oraz pracowitości iście benedyktyńskiej.

Pełni te różnorodne obowiązki do czasu, gdy w roku 1900 Kuria Biskupia zamianowała go proboszczem w Liskowie. — Warto przytoczyć dość zabawny epizod, związany z objęciem przez ks. Blizińskiego parafii w Liskowie. Było to tak: Pewnego pięknego dzionka, ks. Bliziński, wówczas już proboszcz — nominat, pełniący do czasu swe obowiązki sekretarza, natyka się na trzech statecznych gospodarzy.

— A skąd to, moi gospodarze? — pyta.

— My z Liskowa, wedle nowotnego proboszcza przyjechaliśma — objaśniają.

Jakoż było to poselstwo złożone z notablów wioskowych w osobach: Majdańskiego i Uklei; na czele stał własną swoją osobą wójt tameczny, Napadłek. Delegaci, oczywiście, nie przypuszczali, że rozmawiają akurat ze swoim proboszczem, więc im się rozwiązały języki. Przekładają konieczność uzyskania audjencji u biskupa.

— My tam — tłumaczyli się gęsto — przeciw temu co go nam „wiskup“ naznaczył, „osobliwie“ nie mamy „nic“ tylko ponoć sielny młodek; miescki księżyk jest i nieobyty z wiejskim narodem. Patrzyłby się nam bardziej zaszły w lata... Bo to i naród rozbisurmaniony!...

Poselstwo dostało się do biskupa; nie osiągnęło celu — odwołania nominacji. Notable wyjechali zrezygnowani do domu; zdecydowany też był na najgorsze — po takim wstępie — młody proboszcz. Ten i ów doradzał cofnięcie się. Krótkie wahanie, by ostatecznie, machnąwszy ręką na krakania przepowiedzących, powziąć mocne postanowienia i objąć Lisków.

Dziwne sądy boże! Nie chcieli parafianie proboszcza, nie chciał proboszcz parafian, a gdy w trzydzieści siedem lat później proboszcz, — prałat już rzymski — zaniemógł ciężko, setki listów, żarliwe modły i płacz ogromny świadczyły, że związani są z sobą na śmierć i życie.

LISKÓW

Duńczyk, Brandes, w swym „Opisie Polski“ tak, lapidarnie, lecz wymownie, odmalował ówczesny stan części dawnej Rzeczypospolitej, którą kongres wiedeński poddał panowaniu carów rosyjskich, pod nazwą „Królestwa Polskiego“:

„Kraj zapomniany przez bogów, wyszydzany przez ludzi“. Może jednym z najbardziej zapomnianych przez bogów zakątkiem w tym właśnie kraju był Lisków. Tutaj uderzała ta „polska nędza“. Biła w nozdrza smrodem chałup trwożnie poprzykuczanych do ziemi, patrzących małymi szkiełkami okienek w świat: malutki świątek chłopski, zamknięty w opłotkach rodzinnej wioski, najwyżej, najdalej sięgający do pobliskiego miasteczka, gdzie wierny „przyjaciół“ pana i chłopa, Moszko lub Jasek, zakredytował soli, „gasu“¹⁾ lub jaką zdębiałą od starości bułkę dla chorego dziecka.

Szczerzyła kły ta polska nędza w szerokim rechoście chorób nagminnych, trzebiących dziecka w ko-

¹⁾ Lud tak nazywa naftę.

łysce, potem starsze, takie od pasionki i dojrzałych na które złe padło; miotnęło je w bólach na werko wysłane przegniłą słomą, by w końcu zabrać na tamten świat; wywlec na wozie skrzypiącym płaczliwie, ciągnionym przez poszerzeniałą szkapinę, na piaski cementarza, by tam, kochany parobek boży, wypoczął za wszystkie lata mordęgi. By tam nie żałował sobie świętej ziemi i najadł się jej do sytości: oczami wygnilymi, ustami rozwartymi śmiertelnym krzykiem ostatnim konającej duszy, — póki nie uświerkł na amen w chłodzie i głodzie człowieka walonego po łbie nielitościwie przez macochę-dolę. — Polska Nędza... obnoszona po świecie przez chmary emigrantów szukających na obczyźnie chleba, przez uciekających ukradkiem poprzez zieloną granicę, pod osłoną nocy pełnej strachów i nadziei wydarcia się ze szponów potworka, dwugłowego orła carskiego. Polska Nędza trzęsąca zawszawionymi łachmanami po cudzych okrętach, po cudzych domach i rynkach, przeganiana z kąta w kąt, jak się przegania oparszywiąłego psa; wyzierająca z zarpiałych oczu dzieci, z ich pokrzywionych kulasów, z rozdętych jałowym barszczem brzuchów; z obrośniętych brudem starców, mierzonych nienawistnym wzrokiem za ich długie życie, za zawalanie miejsca przy misce, do której rwie się mendel drobiazgu łapczywie wyskrobującego resztki. Ta to Polska Nędza uwiła sobie również gniazdo w Liskowie i panowała.

Stara to wieś kościelna, Lisków, skoro w roku pańskim 1521, według dokumentu wizyty arcybiskupa Łaskiego, był tam już kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych, zapewne, jak większość kościołów tamtej doby, drewniany. Musiał zgorzeć, jeżeli w roku 1770 wzniesiono nowy kościół, dzięki staraniom zastępcy plebana, ks. Nepomucena Krauza i w dniu 28 marca, przez tegoż ks., na mocy upoważnienia konsystorza poświęcony. Przetrwał do

końca dziewiętnastego wieku, kiedy ks. Romanowicz, człowiek najlepszych chęci, cóż, kiedy obarczony latami, rozpoczął budowę nowego, dziś istniejącego.

Ze starego mało co zostało tak, iż pamiątek niewiele jest: coś trzy obrazy, z tych jeden malowany ręką ks. Piotra Wieluńskiego z zakonu św. Franciszka, większego żarliwca w cnotach zakonnych niżli artyści, wyobraża Matkę Boską Różańcową; dwa nowsze, bo powstałe w dziewiętnastym wieku, trochę aparatów kościelnych i na tym koniec.

Przy okazji wizytacji biskupiej w roku 1521, pracowici kmiecie: Jan Stalyerz i Stanisław Gayszek, pod przysięgą zeznali jako do kościoła należy włoka i ćwierć i $1\frac{1}{2}$ mansus ziemi, położonej między polami kmieci, ponadto orzekli, że do parafii należą wsie: (oprócz Liskowa): Dąbsko i Zaksczyno; każda z nich oddaje proboszczowi z włoki po jednej ćwiertni (4 wiertel) pszenicy i drugiej ćwiertni owsa. Następnie Koslyontkowo (Kozłatkow), oddaje dziesięciny snopowe, gruntowe jak też wieś Zychowo (Zychow), z każdej włoki daje po jednym wiertelu pszenicy i drugim owsa. Nadto Strzałkowo (Strzałkow), daje coś z każdej włoki; miasto Koszmynek (Kozminek), płaci proboszczowi Liskowskiemu z włoki małdry, czyli małdraty (małdr = 12 ćwiertni = 48 wiertel). Oprócz tego były różne sumy ofiarowane przez pobożne dusze a lokowane na synagodze w Kozminku i Warcie, od których odsetki szły na utrzymanie proboszcza. Początkowo wieś szlachecka, drogą zamiany dokonaną przez arcybiskupa Jakóba Swinkę, przeszła do włości arcybiskupów gnieźnieńskich, interrexów Rzeczypospolitej, by, na początku siedemnastego stulecia, (między rokiem 1600—1603), stać się własnością zakonu Jezuitów, mocą aktu darowizny dokonanego za zgodą kapituły gnieźnieńskiej. Po kasacie tego zakonu dobra liskowskie dostały się w ręce możnego wówczas w sieradzkim rodu Biernackich, (do dziś pozostał po nich pałac



<http://rcin.org.pl/ifis>

Fragment z pierwszego etapu życia Zakładu Opiekuńczo-Wychowawczego w Liskowie.

<http://rcin.org.pl/ifis>

nad Wartą w Witowie). Po śmierci właściciela nad wspomnianymi dobrami zawisła ręka opiekunów małoletnich spadkobierców. Nie wyszło im to — ani sierotom ani majątkowi — na dobre. Wydzierżawione stały się pastwą dewastacji; przechodziły z rąk do rąk: od Lipskiego, do jego szwagra Billego, w końcu dostały się ostatniemu właścicielowi, Łopuskiemu, który też je rozparcelował.

Co przytym było sporów z chłopami, ile bitek i wodzenia się za łby, na wołowej skórce by nie spisał. Procesowano się do upadłego. Zawsze było o co, bo serwituty zrobiły swoje. Na dobitkę chłopstwo piło na umór w trzech istniejących karczmiškach. Wygrażano sobie wzajemnie, trzebiąc, każdy na swoją rękę las.

Dobra liskowskie należały do większych majątków bowiem, jak wynika z papierów, obejmowały: 1441 morgów ziemi ornej i ogrodów; 347 morgów łąk, 73 mrg pastwisk, 163 mrg lasu. Prócz tego do liskowskich dóbr należały lasy w Żychowie, Annopolu i Zakrzynie w ilości 1530 mrg. Ładny kęs ziemi, tylko marnie gospodarowany.

Wieś, według stanu liczebnego mieszkańców, należała do większych osiedli, skoro w roku 1827 liczyła 64 domów przy 448 mieszkańcach, dwór miał 39 mieszkańców, jeden dom murowany i dziewięć drewniaków.

Na parę lat przed powstaniem nawiedziła Lisków cholera; zawleczono ją do dzierżawcy majątku, gdzie rozchorowało się troje ludzi. O żadnych rozsądnych środkach zapobiegawczych nie było mowy, to też ludziska padali jak muchy. Stary Antoni Majdański, pamiętający doskonale tamte czasy, (dziś już nie żyje), w swojej, pisanej niewprawną ręką wnuczka opowieści, opisuje one środki mające zatamować rozszerzanie się groźnej zarazy:

„...pani (Lipska) — powiada Majdański — dała do uwiązania na szyi woreczki“. Ciekawe co oni

w tych woreczkach mieli. Ano, przedziwne dryjaki; wylicza je Majdański: „kamfora (no, niech będzie; nie zaszkodzi), czarcie łajno (?!), dzięgiel i pieprz“. Jak tu nie mieli ludziska snąć przy stosowaniu tego rodzaju medykamentów?! Kto miał końskie zdrowie, odporny organizm, przetrzymał nie tylko cholere, ale i środki ratownicze. Kto, nieboże, był mniej żyłowatym — wyciągał kopytka. Nie musiały to być leki przyjemne, skoro Majdański zażyty, twardy, o czym najlepiej świadczy dobiegająca setka lat, narzekał że medykamenty owe „strasznie śmierdziały“. (No, myślę!). Skutkiem cholery musiano na gwałt zakładać drugi cmentarz, a w bezmała sześćdziesiąt lat stan ludności podniósł się zaledwie o 50%, mimo że w innych okolicach wykazywał o wiele wyższy wzrost.

Zaniedbana gospodarka dworska świeciła fatalnym przykładem włościanom. Gospodarowano sposobem praktykowanym chyba jeszcze za czasów króla Ćwieczka. Maciek zarobił, Maciek zjadł; często i dla Maćka nie stawało, boć karczma robiła swoje. Ziemia spaprana dawała chude plony, nierzadko zaledwie brat brata rodził. A jeść trzeba. Pomagano sobie różnymi sposobami, jak kto umiał, przeważnie na pierwszym planie było gwałcenie siódmego przykazania boskiego. Wieś wadziła się ze dworem, o czym już wspomniałem; różne miała porachunki; zadawnione, odleżałe w umysłach obu stron. Brano się za ożydla z dworskimi, nie żalowano i swoich kudłów w braterskich porachunkach. I ta ogromna ciemnota. Nie jest to wcale fantazją pisarską, miałem możność stwierdzenia faktów. Jeden taki przykład przytoczę: W jednej z okolicznych wsi zaniemógł ciężko młody parobczak. Domownicy nuże biorą się do lekowania; stosują całą, znaną sobie i sąsiadom, medycynę. Na pierwszy ogień idzie pieczona, ślepa mysz, bo gdzieś, kiedyś — według zapewnień którejś z kumosek — pomogło. Nie lepiej.

Ktoś podsuwa myśl przejechania po chorym maglownicą. Stosują i ten zabieg. A tu jak nic tak nic; przeciwnie, chory ledwie zipie. Smarują go wodą poświęconą w Trzy Króle. Nic. Chłopak belkoce napół przytomny: pić i pić. We dworze jest przypadkiem lekarz. Z ociąganiem się proszą go o zbadanie chorego. Zbadał, pokiwał głową i — tyfus — powiada. Radzi dawać choremu kleik, ostrzega przed niebezpieczeństwem. Gdzie tam! Lekarz za próg, baby w krzyk. — Taki tam i doktor! Juści, nie dać jeść!...

Zajazgotwały roztropniejszych. Zrobiły swoje. Póslano po „znającego“. Jeden z parobków kopnął się po „sławę“ lekarską okolicy, uosobioną w owczarzu z trzeciej wsi. Ten, jak przystało na solidną firmę, ostro wziął się do rzeczy. Uprzedzony skwapliwie o bytności lekarza „klasowego“ z miasta, nadął się, spojrzął groźnie po obecnych, na wijącego się w bolesnych skurczach chorego i z miejsca zawyrokował:

— To, widzita ludzie, nie żaden jakiś tyfus. Wątpia się w nim zapaliły i z tego idzie gorętwa. Musi chorobę przewziąć: dać mu zaraz chleba razowego porządną skibkę. Niech se zje. Caluską! — upomina. Zaraz się okaże: abo na lewo, abo na prawo. Na życie mu się ma — wydobrzeje; na śmierć — nie bedzieta długo czekać.

No, istotnie, niedługo czekano. Chłopak, mimo silnego organizmu, wykopyrtnął się. Ciemni ludziska, pograżeni całkowicie bystrością przepowiedni szeptali z podziwem:

— Zna się, tęga głowa, rychtyk przewidział!

Posiadających sztukę czytania i pisania w parafii liskowskiej było w on czas zaledwie, według obliczeń — co prawda dość powierzchownych — około trzynastu procent, w tym wielu uporało się z nią wyłącznie na księżce do nabożeństwa; i to na wła-

snej. Reszta, 87 procent zupełnie analfabeci. Bieda skwierczała w chałupach aż strach — jedyną deską ratunku pozostawała wędrówka „na saksy“¹⁾, skąd powracali wielokrotnie skrzywieni psychicznie, z chudym dorobkiem materialnym, ale bogactwem doświadczeń przedwczesnych. Bliskość granicy sprzyjała owej wędrówce narodów, na rękę też to było pisarzom i pisarczykom gminnym, ciągnącym zyski z uprawianego masowo procederu ułatwiania kart wyjazdu.

Ile w tych warunkach chorób się nawiązało, ilu pożegnało ten świat, — któż zliczy, któż zapłaci nad nimi?! Klepali biedę i klepali.

POD BERŁEM BIAŁYCH CARÓW

W mroźny styczniowy dzień zajęchały przed plebanię liskowską cztery wozy. Na pierwszym, dość sfatygowanym wasążku ciągnionym przez chmyzowate koniska, okutany w sierdzisty korzuch tkwił woznica, jeden z gospodarzy; dalej, na wyżynach piętrowego siedzenia, paradnie przyodzianego w wiejskie wspaniałości, jakieś makaty wyrobu miejscowych babin, (a grochowiny, mimo to szpetnie z pod nich wyzierały) obatuchany siedział młody, szczupły, o ascetycznej twarzy księżyk. Na dalszych dwóch wieziono meble, jeśli tym mianem można nazwać trochę „kawalerskich“ gratków. W każdym razie nie wyglądało to — na gobeliny, ani na coś co mogły sprofanować deski chłopskiej furki. Ostatnia, czwartą płynęła sobie luźno wśród zasp śniegowych, połyskujących w blaskach mającego się ku zachodowi słońca.

¹⁾ Gubernia Kaliska i Płocka, miały największy, bo przynoszący 11⁰/₀ bezrolnych stałych mieszkańców.

Ksiądz Wacław Bliziński zjeżdżał, aby objąć parafię w charakterze proboszcza, parafię dużą, ale zaniedbaną, z kościołem oczekującym wykończenia, z kupą przycupniętych do ziemi chatynek, o pozieleńniętych, porosłych mchem strzechach, rozsypanych pośród tu i ówdzie widniejącej kępy skarłałych drzew wiśniowych, otulonych sadią, rozmigotaną rubinowymi połyskami zachodu.

A wokół niosła się roztocz pól, poprzetykana zielenią ciemną zagajów, a gdzieniegdzie grusze na miedzach smęciły się i dumały. O czym?... Może o tych ugorach, wyczekujących mocnej ręki; może o tej świętej ziemi, co pragnie rodzić a nie ma w nią kto ziarna miotać.

* * *

„...i pragnę wam przychylić nieba i chleba...” — zakończył swoje pierwsze kazanie w sam dzień Trzech Króli 1900 roku, nowy proboszcz liskowski.

Zacząła się tedy praca, aby te dwa elementy, składające się na całość ludzkiego szczęścia, zadowolenia, dać licznej, bo sześciotysięcznej rzeszy parafian.

Stan parafii wiemy jak wiele pozostawiał do życzenia, tak pod względem moralnym jak również i materialnym. Oświatę reprezentowała marna szkołka wiejska, czytelnictwo — dwa egzemplarze „Gazety świątecznej”. O instytucjach społecznych?!... kto tam wiedział, skoro nawet w kościele nie było chóru, mogącego podnieść uroczystość nabożeństw. Każdy podciągał jak tam umiał, pośpiewując na chwałę pańską baranim głosem.

Pierwszym zadaniem do spełnienia było wykończenie kościoła. Robota czekała by uładzić się jakoś z nią, bez odkładania do sądnego dnia. Udało się.

Trudności piętrzyły się, ale czego nie pokona cierpliwością, silną wolą... Trzeba „umieć chcieć”, po-

wiedział Wyspiański. A, że nowy proboszcz na gwałt chciał wykończyć kościół, przeto mimo trudności, czynionych przez władzę, koso spoglądające na każdy nowy kościół, identyfikując go z bastionem katolicyzmu, stanęła świątynia z wysmukłą wieżyczką, wystrzelającą ponad okolicę.

Większa trudność oczekiwana przy wznoszeniu świątyni nie materialnej, duchowej. Należało postępować ostrożnie, by nierozważnym krokiem nie zrazić do siebie parafian, uprzedzonych z góry do proboszcza, z powodu młodego wieku no i miejskiego pochodzenia, jako że nie zna ani chłopą, ani jego pragnień.

Bogiem a prawdą mieli potroszę rację; nowy proboszcz wieś znał z... ksiązek, a jej sprawy najważniejsze, z opowieści. O rolnictwie lepiej nie wspominać. Radził sobie z tym ostatnim w ten sposób, że chytrze podpytywał to służbę, to furmana wiozącego go do chorego lub do miasta, to znowu kluczył niby zając koło jamy byle wyciągnąć potrzebne sobie wiadomości, bez obniżania autorytetu „człowieka uczonego, klasowego“. Czasami zdarzał się „wpadunek“. Proboszcz palnął zdanie o rolnictwie, zdradzające kompletnie nieznajomość przedmiotu. Mieli z tego uciechę chłopci, pod wiechciami wąsów uśmiechając się z proboszczowej „biegłości“ w tej materii. Naogół radził sobie znakomicie. W lot poznał psychikę chłopą, człowieka prostego; poznał że to gleba dobra, tylko surowa, wymagająca uprawy.

I nie to byłoby najgorsze. Najgorsze było chodzenie po krawędzi prawa a... nielegalnej roboty. A rząd moskiewski był na punkcie tym bardzo czuły, czułą też „opieką“ otaczał każdy krok duchowieństwa katolickiego, widząc w nim, słusznie czy niesłusznie, źródło szowinizmu religijnego i narodowego.

Lada słówko, puszczone nie bacznie ptaszkiem rano z ust księdza, mogło przedzierzgnąć się w ro-

gatego wołu w kancelarii naczelnika powiatu, lub gubernatora. Potem — policja, śledztwo, sądy, stopy „bumagi“¹⁾ no i w skutkach... zsyłka do oddalonych gubernii cesarstwa, lub, w najlepszym razie, pozabawienie parafii i żywot księdza na łaskawym chlebie. To w najlepszym razie. Kończyło się i gorzej, nie rzadko oczekiwało więzienie. Strażnik, żandarm, śledzili ruchy księdza po za plebanią, czy czasem nie za często przebywa wśród parafian; czy nie burzy spokoju mas chłopskich, rozszerzaniem przed nimi horyzontów. Oto co leżało na sercu czynownikom rządowym.

Tymczasem w Liskowie zaczęło się od niewinnych gazet ludowych. Proboszcz opłacił w pierwszym roku swojego pobytu w parafii dziesięć egzemplarzy „Gazety świątecznej“ i „Zorzy“ i to wędrowało od chałupy do chałupy, gdzie wieczorami biegli w piśmie czytali „na głos“. Takie sobie przy tym urządzało wieczorynki, 'że kobiety z kijankami²⁾ przychodziły po chłopów.

W drugim roku już do parafii przychodzi dwaście egzemplarzy „Zorzy“ i jednaście „Gazety świątecznej“.

To była szczelina, którą sączyło się światło, był to pierwszy odgłos, mający zburzyć senny spokój mas chłopskich.

Po głowie proboszcza błąkały się różne myśli i projekty, chodził po wsi, coś sumował, nosił w sobie; jakieś myśli w nim dojrzewały, z którymi się dzielił pocichu przed najbliższymi: księdzem Wtorkiewiczem, wikariuszem i pocziwym nauczycielem, Lipińskim. Spiskowano w trójkę o rzeczach ważnych: co mianowicie najpotrzebniejsze we wsi; co może największe korzyści przynieść chłopu? Różne były zdania; stanęło na tym, że najkonieczniejszym jest sklep własny, spółkowy. — Bo, — tłumaczono

²⁾ Kijanka — drewniana płaska pałka, używana do lnu.

¹⁾ Bumaga — papier.

sobie — ile to straty czasu na jarmarczenie, na włóczęgi po miasteczkach z byle czym i po byle co. Weźmie kobiecina parę osełek masła, chudą gąskę pod pachę i knasa z tym parę kilometrów; za nią podąża chłop; czasem coś pędząc przed sobą a czasem nie. Wyzbędą się swojego towaru, (a dzieci na opiece boskiej, nieraz wzniesają pożar, puszczają z dymem całą wieś), tedy jedno w jedną stronę, drugie w drugą: kobieta po żydowskich sklepikach, chłop skręca tam, gdzie w kieliszki przedzwaniają — do karczmy, dla „rozgrzania duszy“. Powrót „na wesoło“, by w domu podnieść burzę; dzieciom wygarbować za nic skórę, nierzadko jąć się do żoninych pleców, póki nie legł na wyrko. Na drugi dzień dopiero ogarnia czarna rozpacz, bowiem okazuje się, że jest goły jak turecki święty: co dostał w garść na jarmarku, to i na jarmarku w karczmie zostawił. Kobieta krasi jedzenie boskim słowem, gdyż na co innego nie stać.

Szale na korzyść sklepu przechyliły i inne jeszcze względy. Pierwszym z nich — warunki polityczne. Sklep — to sklep; najmniej ściągał na siebie podejrzeń władz; mógł być czymś w rodzaju klubu, w którym można by urządzić cichaczem, bez zwrócenia uwagi węszących za „kramołą“ strażników zebrania z udziałem proboszcza. Cóż, czasy były takie; rząd paraliżował wszelkie ruchy. A do sklepu wolno każdemu przyjść, wolno mu pogawędzić za swoje trzy grosze. Ów sklep, miał być pozór, za którym kryła się robota społeczno-oświatowa. Ks. Bliziński, w swym króciutkim rysie historycznym pierwszej spółdzielni liskowskiej tak pisze: „...tam, powiedzieliśmy sobie (t. j. ks. Bliziński, wikariusz, ks. Wtorkiewicz i nauczyciel, Lipiński, najbliżsi powiernicy), będziemy mogli conajmniej bezkarnie schodzić się na pogawędki, radzić i omawiać różne bolączki i potrzeby życia wiejskiego“.



<http://rcin.org.pl/ifs>
Dom Ludowy przemianowany obecnie na Dom Spółdzielczy.

Było rzeczywiście nad czym radzić, zważywszy chociażby wysoce niezdrowe stosunki w urzędzie gminnym mającym siedzibę w pobliskim, o cztery kilometry oddalonym, Strzałkowie.

Pisarz, typ z pod ciemnej gwiazdy, krętacz i ko-stera¹⁾, spijał się na czarny kamień, ze „starszym“ i żandarmami; grube ryby powiatowej biurokracji kaptował sobie kubanami i był z nimi za panbrat; rządził w gminie niczem w napół udzielonym paszalyku. Gdzietam sienkiewiczowski Zołzikiewicz. Przerastał tamtego nie o jedną, ale o wiele głów. Zołzikiewicz straszył naiwną Rzepową „morskim sądem“, ten nawet nie uciekał się do pozorów. Broił co chciał, wodził za nos wójta, kręcąc — niezgorszym może chłopem, lecz z wbitym ćwiekiem dobrodziejstw cara w głowie — jak kukłą. Z gminiaków darł siódmą skórę. Mógł; ciemny lud bał się urzędników jak ognia. Wszak mieli możność zawsze naprowadzić na kark biedę.

A pisarz szelma miał posłuch nawet u naczelnika powiatu i trudno z nim było walczyć. On odwdzięczał się proboszczowi pięknym za nadobne: rył, rozsiewał nieprawdopodobne plotki, byle pokrzyżować plany. Sekundowało mu paru ciemnych chłopów, nastraszonych jako że sprzedadzą gospodarki tym, co przystąpią do spółki. Mówiono: „wyjdziała bez portek“; a to znowu sklepikarz żyd, przewidując co się święci, kładł wiejskim kobiecinom w głowę różności.

Wbrew szkodnikom powziętą myśl założenia sklepu doprowadzono do szczęśliwego końca. Na początku zgłosiło się trzydziestu pięciu chętnych. Nie wielu z pośród nich szczerze było przejętych ideą spółdzielczości, całkiem obcą na wsi, ledwie się przyjmującą w miastach. Według relacji ks. Blizińskiego zaledwie 12 okazywało rzeczywiste oddanie,

¹⁾ Gracz, awanturnik.

reszta — ano, proboszcz naciskał, kładł w głowę, to i przystąpił, bez zrozumienia podstaw ideowych organizacji. Wyszło szydło z worka, gdy należało złożyć dziesięciorublowe udziały.

— Widać było, — powiada ks. Bliziński — po twarzach wielu, z jaką niechęcią, z jakim żalem dawali te pieniądze; mówiły ich oczy: „masz, proboszczu, te 10 rubli, skoro tak namawiasz, ale już ja ich więcej oglądać nie będę, chyba przy jakim parafialnym interesie: przy pogrzebie, ślubie, potrące sobie“.

Zebrało się od członków trzysta pięćdziesiąt rubli; sklepowy złożył 100 rb. kaucji, naturalnie, proboszcz dla przykładu 50 rb.; w ten sposób powstał kapitał wynoszący razem 500 rubli. Zdobyto pieniądze; wylaniała się kwestia: jaką formę prawną obrać. Spółdzielczość w Polsce przechodziła okres ząbkowania: gdzieś tam istniały jakieś spółdzielnie: „Jutrzenka“, „Merkury“, w większych miastach, owszem, ruch nabierał rozmachu, lecz każda z powstających placówek rządziła się swoim statutem; jednolitego statutu, mogącego stanowić wzór, nie wypracowano. Rozesłano więc listy do różnych pism ludowych w poszukiwaniu wzoru. Napróżno: napłynęły grzeczne odpowiedzi, budujące słowa, ale co do wiejskich spółdzielni to o takich nie słyszano. Pozostawało przysiedzieć fałdów i samemu ułożyć statut. Tak się też stało. Dla uniknięcia kosztów tudzież uciążliwej procedury, nie dokonano wymaganej prawem rejestracji członków u rejenta, ominąwszy ją w ten sposób, że świadectwo przemysłowe (patent), wykupiono na subiekta sklepowego, wzięwszy od niego odpowiednie zabezpieczenie. Mieszkanie wynajęto na pomieszczenie sklepu na wikariatce, za co spółka (stanowiąca według tego co widzimy prywatny ściśle i wolny związek ludzi, bez ubrania go w oficjalne formy prawne), obowiązała się płacić na rzecz kościoła 3 ruble miesięcznie.

W dniu 13 stycznia 1902 roku dokonano otwarcia sklepu; był on pierwszą placówką ekonomiczną, w Liskowie, bodaj czy nie najpierwszą tego rodzaju w całej Kongresówce na wsi. Otrzymała nazwę uplastyczniającą jej charakter, a mianowicie: spółka rolniczo-handlowa.

„GOSPODARZ”

Jak on się gospodarzył ów „Gospodarz“. Zobaczymy to zaraz z rachunków, stanowiących zwierciadło gospodarki, oraz rozejrzawszy się w pierwszych posunięciach odbijających w sobie rzeczowość poczynić. Widzimy więc, że z początku szło jak po grudzie. Różne się na to składały przyczyny, a przede wszystkim niezrozumienie myśli przewodniej wśród mieszkańców wsi, no i „serdeczni przyjaciele“ zgrupowani koło osoby sklepikarza, pragnącego z miejsca ukręcić łeb groźnemu konkurentowi. Wśród samych spółdzielców też nie grzeszono zgodną współpracą; jedna partia chciała mieć sklepowym miejscowego organistę, druga — do tej należał proboszcz, — parła, by sklep objął p. Lipiński. Doszło szczęśliwie do porozumienia, mocą którego subjektem został p. Lipiński, kandydat proboszcza. Organista pozostał przy organach. Nie długo wyszły nowe spory na plac. Wójt, człowiek nie tyle zły ile tańczący podług muzyki pisarza, wspólnie z czterema innymi gospodarzami usiłowali rozbić stowarzyszenie. Czuć było w tym plugawą rączkę pana pisarza (mającego z proboszczem na pieńku o różne sprawy i spraweczki). Nie powiodło się dzieło. Zamiast rozbicia, doczekali się wykreślenia ze spółki.

Radykalny ten krok poskutkowało i sprawy poszły gładziej; szczęśliwie przebrnięto pierwszy rok istnienia. Był on pomyślnym. Sklep w tym roku miał obrotu 4,125 rb. 77 kop. W tym też roku po za sumą wykazaną w obrocie sklepowym, sprowadzo-

no dla członków nawozów sztucznych za 220 rb. nasion za 60 rb. Obliczenie noworoczne wykazało, że wartość sklepu podniosła się z 500 rb. do 723 rb. 42 kop., a mianowicie:

W towarach wynosiła	455 rb. 60 kop.
na kredycie	93 rb. 40 kop.
gotówka w kasie	174 rb. 42 kop.
razem	723 rb. 42 kop.

Ten wynik wywołał wśród członków radosne zdumienie. Jak to — mówiono między sobą — towary kupowaliśmy dobre, lepsze niż w sklepiku prywatnym, uczciwie odważone, odmierzone i jeszcze taki grosz zysku?! Wątpiący nabrali otuchy, wierzący dworowali z usuniętych strachajłów, co to medytowali w skrytości ducha: — A nuż, szelma żółtek, ma rację, a nuż gospodarką przyjdzie beknąć za tę spółkę? Natrząsano się z wójta i pisarzowych popleczników: — Pewnikiem waju żółtek ufetował, lategościa odeszli?!

— Ba — podrwiwali drudzy — dał im główkę cebuli, dzwonko śledzia i okowity namoczonej na tureckim pieprzu.

— Juści co mu odsłużą w siabes: bachory przewiną, świeczki zapalą, abo i tych kilka patyków podetchną do pieca.

Tak to sobie kpili z niedowiarków.

* * *

Zysk ogólne zebranie podzieliło w następujący sposób: Sto dwadzieścia pięć rub. rozdzielono między członków jako dywidendę, (co stanowiło 2 rb. 50 kop. od udziału), uczyniono to ze względów praktycznych, aby wykazać namacalnie korzyści należenia do spółki; 74 rb. przeznaczono na powiększenie sklepu, resztę ofiarowano na budowę kościoła. Utrzymanie sklepu wraz z patentem wyniosło 233 rb.; było to mało, lecz zauważyć należy, iż każdy członek dał darmo jedną furmankę do miasta po towary. In-

wentarz sklepu przedstawiał wartość 51 rb. 10 kop. Sklepowy otrzymywał dziesięć rubli miesięcznie.

Taki był rezultat pierwszego roku.

Nikt z udziałowców wówczas, ani sam ks. Bliński zapewne, nie przypuszczał, że stworzyli podwaliny pod potężny kompleks placówek gospodarczych, obracających setkami tysięcy złotych, zatrudniających łącznie kilkudziesięciu pracowników i wprowadzi w podziw swoich i obcych.

Ale śledźmy dalsze koleje „Gospodarza“, tej matki wszystkich instytucji powstałych w niezadługim czasie.

W roku 1903 obroty sklepu podniosły się o 702 rb., wynosząc 4,827 rb., co przeciętnie wypada na dzień 13 rb. 20 kop. Z zysku w sumie 159 rb. wydano członkom dywidendę jak poprzednio po 2 rb. 50 kop., razem 125 rb.; 34 rb. pozostawiono na powiększenie sklepu. Wartość sklepu wynosiła:

w towarze	488 rb. 20 kop.
na kredycie	112 rb. 50 kop.
w gotówce	7 rb. 30 kop.
razem	608 rb.

Maszyn rolniczych od sierpnia do stycznia sprzedano za 1,350 rb; Spółka zyskała w procencie wianę wartości 32 rb., wypożyczaną członkom po 20 kop. nie członkom — 25 kop. Mimo większego obrotu zauważyć się daje spadek zysków, przyczyna czego tkwiła w mniejszej sprężystości handlowej sklepowego, organisty. To skłoniło do powołania ponownie p. Lipińskiego na subjekta, który odrazu potrafił powetować straty i wartość sklepu podnieść do sumy 744 rb. Po pół roku jednak ustąpił, co spowodowało fatalne następstwa. Po raz trzeci tedy powołano p. Lipińskiego.

Rok 1904 przyniósł pocieszający fakt: sklepiarz, żyd, utrzymujący swój kram na przekór spółdzielni, zwinąwszy lary i penaty pożegłował w inne

strony. Dom swój oraz pół morgi gruntu sprzedał właśnie tej spółce, o której głosił, że upadnie, a na chłopów naprowadzi nieszczęście, — za 850 rb, na co członkowie spółki zadeklarowali 100 rb, parafianie 150, proboszcz dołożył resztę. Był to drugi sukces.

W roku 1905 sklep — nie mając konkurenta — zaczyna się rozwijać; obrót wynosi 5,239 rb, wartość sklepu — 862 rb. 06 kop. Nawozów sztucznych sprzedano za 690 rb, narzędzi rolniczych za 450 rb.

Pierwsze to były lata stosowania w małych gospodarstwach sztucznych nawozów.

Rok 1906 przynosi poprawę uposażenia sklepowego: zamiast 12, otrzymuje osiemnaście rubli miesięcznie plus 2 proc. od sprowadzonych (towarów. Obrót w tym roku wyniósł 5.277 rb., nadto sztucznych nawozów zbyto za 1.217 rb., kapitał zakładowy wynosił 564 rb, od którego przyznano dywidendę 30%, co stanowiło 167 rb. 05 kop. Tak dodatnie wyniki dodały otuchy i nasunęły myśl pobudowania Domu Ludowego.

Rok 1907 przynosi poważne inowacje, wywołane kryzysem wewnętrznym spółki. Dla uprzystępnienia wpisywania się do spółki postanowiono zezwolić na wpłacanie udziałów ratami, wypłacać dywidendę od udziału tylko w stosunku 6%, resztę zysku dzielić w stosunku prostym od wybranych towarów, (co miało rozumne założenie: przyciągnięcie kupujących zainteresowanych w wybraniu największe ilości towarów). Wprowadzono nowe książki rachunkowe, książeczki od wybranych towarów: wszystko według wzorów Związku Spółek.

Przystąpiono do zorganizowania Związku Spółek Ziemi Kaliskiej, a za jego pośrednictwem do tymczasowej Agencji Stowarzyszeń Spożywczych w Warszawie. Ograniczono kredyt do połowy wysokości udziału — obcym wcale nie kredytować, chyba na ryzyko i odpowiedzialność sklepowego.

Źródłem wymienionych wyżej inowacji był kryzys, o którym wspomniałem, wyrażający się w nagłym spadku obrotów do sumy 3,248 rb, tudzież spowodowanymi nieopatrzoną gospodarką stratami, dochodzącymi poważnej na tamte czasy i na tamte środki sumy 400 rb. Nie małą rolę odegrały niedociągnięcia ciała nadzorującego, trochę zadufalność w dotychczasowe powodzenie. Burzliwe były obrady; rzucono nawet myśl zlikwidowania wogóle sklepu. Nawet inicjatorowi, ks. Błazińskiemu, opadły skrzydła. Spowiada się też z goryczą w swoim artykule w „Społem“ z dnia 20 października 1917 r.:

„Sam zwątpiłem, czy wobec tych, powtarzających się niepowodzeń zdołamy nasz sklep utrzymać“. Aliści fala złego przeszła, sklep ostał się. Krzykacze, ludzie przeważnie małego ducha, a mocni jedynie w słowach, dostali należytą odprawę od mędrszych, umiejących dalej patrzeć.

— Tak — mówili — to kiedy sklep przynosił zyski, byliście za spółką, teraz, że noga się powinęła, dalej, zwiając go. Nie; mieliście ochotę brać, miejcie teraz ochotę dać. My nie pozwolimy spółce upaść: zyski, jakie nam dawała w dobrych latach oddamy, nawet, jeżeli do tego dojdzie, dodamy jeszcze, a spółka musi zostać, musi być w Liskowie. Jakże my bez tego sklepu się obejdziemy?!

Nie byłem tam, ale może każdy z nas domyśleć się, jak serce proboszcza rosło, gdy słyszał takie mowy. Naocznie przekonał się, że praca nie poszła na marne.

Pierwszy to wypadek w Liskowie, iż prosty chłop zdobył się na taką postawę. Jakoż zwyciężyli. Postanowiono dodać do udziału po pięć rubli, akurat tyle, ile wynosiła dywidenda za ubiegłe, tłuste lata. Postanowiono również zmienić zarząd w większości i polecono mu zbadanie przyczyny zła. Usunięto zatem, jeśli nie wszystkie, to lwią część

braków organizacyjnych. Odtąd praca szła coraz lepiej, sprężystej, aż do wielkiej wojny.

W roku tysiąc dziewięćset ósmym, dnia 1 kwietnia sklep przenosi się do nowego lokalu w nowo-wybudowanym Domu Ludowym. W domu tym ma lepsze bez porównania pomieszczenie, bardziej reprezentacyjne i wygodne. Rozszerza też zakres towarów. Czynsz dzierżawny wynosi w pierwszym roku 100 rb., w następnych 150 rb. Może sobie na to pozwolić; interesa idą dobrze, ludność wciągnęła się do samej idei posiadania własnego sklepu.

Obrót wynosi kwotę 5,031 rb 18 kop; czystego zysku — 330 rb, podzielono go:

6 % od udziału	41 rb. 52 kop.
od wybranych towarów	91 rb. 12 kop.
84 rb. 10 kop. na powiększenie sklepu,	
33 rb. na kapitał zapasowy,	

pozatym przeznaczono na różne instytucje drobne sumy oraz odsetek subiekтови.

W tym roku liskowską spółdzielnię odwiedził w charakterze lustratora, Pan STANISŁAW WOJCIECHOWSKI, mający w czternaście lat potem zająć najwyższe w odrodzonej Polsce stanowisko — Prezydenta Rzeczypospolitej. Protokół lustracyjny, sporządzony własnoręcznie przez Niego, przechowuje Stowarzyszenie jako pamiątkę historyczną.

W roku następnym, t. j. 1909 roku, otrzymano czystego zysku 317 rb. 24 kop, z tego wydzielono:

na kapitał zapasowy 10%	31 rb. 70 kop.
od udziałów 5%	48 rb. 05 kop.
od zakupu tow. 5%	98 rb. 79 kop.
na kapitał rezerwowy	47 rb. 70 kop.
oraz, jak za lat poprzednich różne drobne sumy:	
na zapomogę dla Kółka Rolniczego	6 rb.
na Pszczelin	5 rb.
gratyfikacja sklepowego	24 rb.
dla rachmistrza	6 rb.



Ks. prałat Wacław Bliziński, prob. par. Lisków.



Nowy pawilon Zakładu Opiekuńczo-wychowawczego dla dziewcząt.

<http://icm.org.pl/fis>

Uderza w tych zestawieniach ciekawa i charakterystyczna rzecz: skojarzenie praktyczności życiowej, uwidocznionej w wynagradzaniu pracy, częstość podjętej wyłącznie z pobudek ideowych, z obywatelskim stanowiskiem, wyrażającym się drobnymi sumami, prawda, przeznaczanymi na cele społeczne, lecz zdradzającymi myśl przewodnią. Przeznaczano na przykład na gazety, na szkoły...

Rok 1909:

czysty zysk 302 rb. 40 kop. Z tego przeznaczono na:

kapitał zapasowy	30 rb. 20 kop.
rezerwowy	75 rb. 50 kop.
od udziałów	44 rb. 74 kop.
od zakupu	122 rb. 76 kop.
kasjerowi	5 rb. 00
sklepowemu gratyfikacji	24 rb. 20 kop.

W roku 1911 zysk — 206 rb. 51 kop., przy obrocie 8.223 rb. podzielono:

kapitał zapasowy	20 rb. 65 kop.
rezerwowy	28 rb. 04 kop.
od udziałów	41 rb. 82 kop.
od zakupu	82 rb. (4 ⁰ / ₁₀₀)
gratyfikacja sklepowego	10 rb.
dla Pszczelina	5 rb.
zapomoga dla Kółka Rolniczego	5 rb.

W tym roku Stowarzyszenie, zatwierdzone nareszcie przez władze, działając na podstawie uregulowanych norm prawnych, wyjednuje sobie, w istniejącej nowozałożonej Kasie Oszczędnościowej kredyt do wysokości 500 rb., pod zastaw towarów.

W roku 1912 obrót wykazuje poważnąwyżkę, bowiem wynosi 10,443 rb.; czysty zysk 416 rb.; maszyn rolniczych sprzedano za 2,230 rb., nawozów sztucznych za 10,800 rb. Zaznacza się zatem zba wienny wpływ działalności organizacji rolniczych, powstałych w międzyczasie, czego widomą oznaką

coraz szersze stosowanie sztucznych nawozów, których w pierwszym roku zbyto zaledwie za sumę 220 rb. Dalsze lata, 1913 i 1914, wykazują coraz zwiększające się obroty:

Rok 1913 — blisko dwanaście tysięcy rubli, 1914 dociągnął do 14 tysięcy, niestety, mam dane z owych lat wyłącznie w przeliczeniu na złote, zatem nie mogę podać liczb ścisłych, w walucie starej, według której można się zorientować w wpływach. W złotych wyrażają się w następujących sumach: 1913 — 23.524 zł., 1914 — 27.363 zł.

Przedostatni rok przed wojną, t. j. 1913 — stanowił ważny etap w rozwoju Spółdzielni, gdyż w tym roku otwarto piekarnię, mającą zapobiec niepraktycznemu ze wszechmiar wypiekaniu chleba domowym sposobem. Sprowadzono więc początkowo żelazny piec z Poznania, za który zapłacono 310 rb., na 28 bochenków chleba, zainstalowawszy go w izbie obok kąpieli. Gospodynie zarabiały ciasto i przynosiły je do piekarni, gdzie było wypiekane za opłatą pół grosza od funta. Sposób ten okazał się niepraktyczny, co skłoniło inicjatora, ks. Blizińskiego, do urządzenia kompletnej piekarni z możliwymi udogodnieniami. A chociaż piekarnia w pierwszym roku, wskutek wadliwej organizacji i niedoświadczenia piekarza, wykazała pokaźne straty, bo wyrażające się sumą 250 rb., pokonano i tę przeszkodę, rozwiązując zagadnienie produkcji, oraz zbytu w praktyczniejszy sposób. Cyfry, najlepszy dowód, wykazują, że pomysł był dobry; niebawem przekonano się o tym. W roku założenia wypiek stanowił 84.000 funtów, a już w następnym, 1914 — 131.009 funtów, prawie w dwójnasób. Lata wojny wywarły swój wpływ na produkcję, jednak nie taki, aby zwichnęły placówkę. Dzisiaj stanowi ona część składową Spółdzielni Rolniczo-Handlowej i produkcja idzie w setki tysięcy kilogramów rocznie.

* * *

Skromny sklep spółdzielczy w zapadłej wsi w ówczesnych warunkach skrępowania publicznego życia, przejął na siebie rolę rozsadnika kultury wśród ludu; był on nietylko placówką ekonomiczną, lecz — jeśli się tak można wyrazić — ześrodkowywał życie towarzyskie chłopów, stanowiąc coś w rodzaju klubu, gdzie schodzono się na pogawędki, dla omawiania palących spraw społecznych ciasnego świata wiejskiego. Bo o czym tam nie radzono, jakich kwestii nie roztrząsano: i o polityce, (to cichaczem), i o oświacie, i poruszano nowe projekty — wszystko, co dokuczało, co obejmowało zakres zainteresowań ludzi oderwanych od wielkiego nurtu życia. Tam też kształtowała się psychika, światopogląd najbliższych proboszcza współpracowników, który, oczywiście, wodził rej, sugerując własne pomysły otoczeniu, urabiając je do swoich, dalekosiężnych zamierzeń.

A bez przesady należy przyznać, był to człowiek o szerokim zasięgu myśli, o daleko odbiegającym pojmowaniu rzeczy od wiejskiego plebana. Zresztą, późniejsze lata wykazały rozmach twórczy, inicjatywę, nieugiętą energię i — nade wszystko — wytrwałość.

— Drugi machnąłby ręką, prowadząc żywot spokojny „człowieka poczciwego“. Bo nie gładko szło, nie po różach stąpał, niejednym raz zapewne i zwątpienie ogarnęło, nie jeden raz posłyszał sarkanie lub zgola wyraźne, cierpkie uwagi pod swoim adresem.

Aby wywołać szlachetną rywalizację w stosowaniu ulepszonej gospodarki, projektuje się, na przykład, coś w rodzaju konkursu. Już w roku 1903 Spółka zakupiła na jesieni trzy korce żyta wyborowego, „Petkus“, rozdała je członkom po cztery garnce z warunkiem zwrócenia po zbiorach sześciu garncy, przy czym ustanowiono: którzy wykażą się najlepszym plonem w ziarnie i słomie, otrzymają nagrody: pierwszą — jeden korzec tegoż żyta, drugą — pół korca.

Pierwszą nagrodę przyznano gospodarzowi, który zebrał z zasiewu 56 garncy, drugą temu, co zebrał 52 garnce.

Po zbożu zwrócono uwagę na bydło. W tym celu kupiono w majątku od p. Niemowijowskiego ze Śliwnik rasowego stadnika dla poprawienia hodowli bydła, ulokowano go u jednego z gospodarzy, biorąc po kilkadziesiąt kopiejek od pokrycia. Z inicjatywy Spółki wyjechało trzech gospodarzy na dziesięciodniowe kursy, urządzone w Muzeum Pszczelniczo-Ogrodniczym w Warszawie. Na podróż otrzymali z funduszu sklepu po 5 rb., resztę kosztów pokryli z własnej kieszeni. Co to były za opowiadania, jakie zachwyty po przyjeździe, aż proboszcz musiał wyganiać do domów, bo to i żony podniosły bunt: że „chłopy przychodzą późno spać”; że ich się „bałamuci” tymi tam wieczorynkami. Nawet wysłały krzykliwą delegację do proboszcza z żądaniem... zamknięcia sklepu. Właśnie, w sam raz trafiły. Trzeba było przekładać, perswadować, aż w końcu sfolgowały; toć groziły napisaniem skargi do biskupa. Ks. Bliziński znalazł na to radę: począł wciągać i kobiety do pracy, rozumiejąc, iż nie pochodziło to ze złej woli ile z markotności z powodu pomijania ich.

Jakoż sposób okazał się dobrym. Kobiety zaczęły brać coraz żywszy udział w życiu społecznym, co wyszło nawet na dobre, bowiem nie jedna kumoszka dorzuciła swoje, nie głupie zdanie.

W sklepie również narodziły się nowe projekty; jednym z nich, zrealizowanym niebawem, bo w miesiącach letnich tego roku w którym powstał sklep spółkowy, było

WZAJEMNE UBEZPIECZENIE OD POŻARU.

Na zebraniu parafian, zwołanym przez proboszcza w dniu 20 lipca 1902 roku, uchwalono zorganizować je. Oparte było wyłącznie na zobowiązaniu moralnym, bo o przybraniu myśli w formy prawne

nie mogło być mowy; władze rządowe z miejsca ukreśliły by łeb sprawie, widząc w niej przejaw „polskiej“ intrygi¹⁾, „kramoły“, Bóg wie czego. Wzajemne poszanowanie danego przyrzeczenia — oto wiązadło. I z całym naciskiem należy podkreślić, że wywiązano się ze swoich, dobrowolnie przyjętych obowiązków jaknajlepiej. Oto w zarysie statut, ułożony do wewnętrznego użytku stowarzyszonych.

Do stowarzyszenia mogą być przyjmowani gospodarze rolni, znani ze swej uczciwości, a to w celu uniknięcia nadużyć. Przez dwanaście lat istnienia, od roku 1902 po rok 1914 nie zanotowano ani jednego nadużycia.

Na wypadek ognia u jednego z zapisanych, po sprawdzeniu przyczyny i rozmiarów, wszyscy pozostali członkowie obowiązani są wnieść w przeciagu tygodnia, po: a) — jednym centnarze słomy, b) — cztery garnce żyta, c) — cztery garnce owsa; ktoby pogorzał w czasie od 1 lipca do 15 października, dostaje całą składkę, podług paragrafu 2; ktoby pogorzał od piętnastego października do pierwszego stycznia, dostanie trzy czwarte, od 1 stycznia do 1 kwietnia połowę składki, od 1 kwietnia jedną trzecią składki;

nadto do Nowego Roku obowiązuje centnar słomy, a od Nowego Roku pół centnara;

jeżeli spali się dom, a budynki gospodarcze zostaną w całości, składka obowiązuje w połowie;

jeżeli spaliłaby się odrazu cała wieś, lub większa część ubezpieczonych, wtedy każdy członek złoży dla spalonych do równego podziału: pół korca żyta, tyleż owsa i trzy centnary słomy;

gdyby w ciągu roku nie było pożaru, to w lipcu stowarzyszeni złożą po 50 kop. do ogólnej kasy;

Stowarzyszenie jest umową prywatną i ma gwarancję tylko natury moralnej. Stowarzyszenie zawią-

¹⁾ Wicherzenia, knowania.

zuje się na rok, w lipcu członkowie ponawiają swój zapis i przyjmują nowych członków;

Dwunastoletnia działalność tego stowarzyszenia była następująca:

rok 1902 — wypadku ognia nie było u stowarzyszonych, zatem złożono po 50 kop., odbyło się dziękczynne nabożeństwo, pieniądze przeznaczone na kupno instrumentów dla orkiestry parafialnej;

rok 1903/4 — dnia 24 sierpnia pożar u Tomasza Pawelca z Wygody, spłonęła stodoła i stos zboża. Otrzymał całą składkę;

rok 1904/5 — dnia 2 czerwca pożar u Wiczewskiego na Młyniskach: spłonęła stodoła i obora. Otrzymał połowę składki;

rok 1905/6 — pożaru nie było, złożono 116 rb., za które zakupiono sikawkę;

rok 1906/7 — pożaru nie było, składkę pieniężną obrócono na potrzeby straży ogniowej;

rok 1907/8 — dnia 4 kwietnia spłonęła stodoła u Antoniego Tomalaka, któremu, zgodnie z jego życzeniem, stowarzyszeni złożyli tylko po jednym centnarze słomy;

rok 1908/9 — dnia 20 września Wojciechowi Janickiemu spaliły się wszystkie budynki, z wyjątkiem domu, prócz tego zboże, trzy konie. Otrzymał od stowarzyszonych po jednym centnarze słomy, a zamiast ziarna, zgodnie z jego życzeniem, po jednym centnarze siana;

rok 1910 — dnia 22 sierpnia spaliło się całe gospodarstwo Kazimierzowi Majdańskiemu w Liskowie, otrzymał całą składkę;

tegoż roku nawiedził pożar Józefa Białka na kol. Liskow. Spaliło się również wszystko, otrzymał całą składkę;

rok 1911 — dnia 15 kwietnia pożar u Jana Szylera na Młyniskach, otrzymał ćwierć składki;

rok 1912 spaliło się gospodarstwo Grzelińskiego w Liskowie, otrzymał całą składkę;

rok 1913 — pożar u Walentego Bartosika w Liskowie, spłonęła stodoła i obora, przyznano czwartą część składki;

rok 1914 — dnia 17 lipca pożar u Ignacego Toczyńskiego w Liskowie. Ofiarą padły stodoła i obora. Komitet przyznał po cztery garnce żyta i centnarze słomy.

Tak to sobie pomagano po bratersku w nieszczęściu, pod przewodem proboszcza. Zarówno wypadki wojenne, jak i ubezpieczenie gospodarstw w Towarzystwie „Snop“ przerwały działalność wysoce pożyteczną, na oczekaniu stworzonej instytucji, do dziś dnia wspomianej wdzięcznie przez parafian liskowskich.

* * *

Dalekim był pomruk burzy, gdy ks. Bliziński nastąpił do Liskowa; gdzieś tam pierwsze błyski rozdzierały powietrze, głuchy hurgot dochodził, nic jednak nie zwiastowało rychłego wybuchu. Moloch rosyjski przetrwał zdobycze na Wschodzie i na Zachodzie. Naraz ciszę ciężką, nabrzmiałą grozą, jaką obserwujemy przed burzą, przerwał daleki huk armat. Rząd carski dał się wciągnąć w imię interesów jednostek, w ryzykowne przedsięwzięcie: w wojnę z Japonią. Wyszedł z niej pobity przez lekceważonych „makkaków“¹⁾, żółtoliczych wojowników mikada²⁾. Dzięki dyplomatycznej interwencji, pośrednictwu prezydenta Ameryki Północnej, Teodora Roosewelta, udało się Rosji zawrzeć nie hańbiący pokój w Portsmouth. Nie udało się powstrzymać lawiny rewolucyjnej: kolos okazał się kolosem zmurszałym; zbałwanilo się spokojne morze ludów gnębionych, zaświtała nadzieja lepszej przyszłości, możliwszych warunków bytowania.

¹⁾ makakkami (małpami) nazywali szydersko Rosjanie Japończyków.

²⁾ mikado — cesarz japoński.

Toczące się zdala wypadki nie pozostały bez echa nawet w odległym Liskowie, możliwości pracy obywatelskiej, społecznej, rozszerzyły się. Wraz też zaczęły się pogadanki, odczyty, wygłaszane przez przygodnych prelegentów w przygodnych lokalach. To w chałupie, gdzie wyjmowano drzwi i okna, aby udostępnić słuchanie masie oblegającej ją zewsząd, a żadnej nowin.

To zebrania na plebanii, u proboszcza, w gronie starszych, doświadczonych gospodarzy. To znowuż po wsiach okolicznych, dokąd ludność chętnie ścigała. Policja sfolgowała; zresztą nie bardzo wiedziała co począć wobec narastającej fali rewolucyjnej, grożącej zmieceniem starych porządków lada dzień, lada godzina. Chodzili, spodełba obserwując co się to wyrabia za „bezobrazje“¹⁾.

W tym też roku 1904 na zebraniu parafian i członków spółki, dnia 12 sierpnia przemawiał jeden z okolicznych obywateli, p. Wyganowski z Pietrzykowa. Prawił im o różnych potrzebach wsi polskiej, nie szczczędając dobrych rad, bo należał do światłych obywateli, nie zasklepionych w stanowym interesie. Po nim zabrał głos ks. Bliziński. Podniósł więc konieczność najważniejszą chwili bieżącej: założenia *Kasy Drobneho Kredytu*. Miała ona służyć do wyrwania się z rąk lichwiarzy, wyzyskujących w niemiłosierny sposób chłopa. Narazie miała obsługiwać wyłącznie członków spółki, oczywiście nie zamykając drzwi i przed nowymi, chętnymi do zapisania się na członków.

Od uchwały do urzeczywistnienia, w formie prawnego zalegalizowania, droga była daleka i trudna. Należało przejść krzyżową drogę biurokratycznych chwytów, zastrzeżeń i t. d. i t. d. Toż za przykład mógł posłużyć sklep spółkowy, o którym mó-

1) bezobrazje — nieporządki, nieład.



Spółdzielcza Cegielnia i Betoniarnia.



Mleczarnia Spółdzielcza.

wilem poprzednio; czekał na swe prawne uznanie do 7 sierpnia 1908 roku, zatem sześć bitych lat.

Nie ogładano się na formalistykę, a odrazu przystąpiono do rzeczy. Kasa w niespełna parę tygodni poczęła działać. Główne wytyczne były takie:

wypożyczać wolno tylko członkom, albo obcym, za poręczeniem członka;

pożyczka może być udzielona wyłącznie na potrzeby rolnicze;

wysokość jej wynosić może od 5—50 rb.;

spląty uiszczać miesięcznie lub kwartalnie, ratami;

pożyczający wpłaca odsetki z góry, w wysokości 7⁰/₀;

Kapitał potrzebny na uruchomienie Kasy znalazł się, dzięki staraniom proboszcza; członkowie spółki postanowili przeznaczyć dywidendę, należną im, na kapitał obrotowy. Zdobyli się na obywatelski gest, niema co! Do dnia 8 lutego, 1906 roku wypożyczono 440 rb. Kasa działała, lecz o zatwierdzeniu ani mowy. Deptał koło tego mecenas Radwan z Kalisza, mający stosunki w sferach dygnitarzy gubernialnych, zażyły przyjaciel ks. Blizińskiego, długi czas bezowocnie; w końcu przecież dopiął celu: władze zgodziły się na zatwierdzenie Kasy pod warunkiem usunięcia z pomiędzy podpisanych członków założycieli najbardziej rażące uszy carskich czynowników trzy nazwiska: ks. Blizińskiego, Andrzeja Ignaczaka i Szymona Krycha. Nie było wyboru; zgodzono się i trzech groźni dla potęgi samodzierżawcy wszechrosyjskiego osobnicy, zostali wycofani oficjalnie z pośród założycieli, bezsprzecznie zachowując swój autorytet moralny wobec samej instytucji. Nareszcie nadesłano „bumagę“: Kasa została zatwierdzona, można było wyhynać z ukrycia, co też niebawem uczyniono, zwołując zebranie członków założycieli. Sześć lat czekano, bo od 1904 do 1910 roku na to. Przybyło 22-ch członków; po odczytaniu

„papieru“ o legalizacji, przyjęto nowych 55 członków, poczym w zwiększonym już składzie ciągnęły się obrady.

Legalizacja popchnęła działalność Kasy, która przybrała nazwę Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej, na szersze tory. O ile poprzednio do Kasy należeli ludzie „śmielszej natury“, teraz usunięta obawa represji dała asumpt do rozleglejszej pracy organizacyjnej. Udział członkowski wynosił trzydzieści rubli, (mogły być płatne ratami), wpisowe 30 kop. Kasa wyrobiła sobie kredyt w instytucjach finansowych Kalisza: w Banku Państwa do sumy 10 tysięcy rubli, w Banku Tow. Spółdzielczych 30.000 rb., w Kaliskim Towarzystwie Wzajemnego Kredytu 3.000 rb.

Kasa w roku 1912 nabywa na własność Dom Ludowy, wraz z przylegającymi zabudowaniami gospodarczymi, za sumę sześciu tysięcy rubli, od dotychczasowego właściciela ks. Blizińskiego, co stanowiło sumę zadłużenia w tejże Kasie, przy rzeczywistej wartości obiektu dochodzącym do 15 tysięcy. Operacja była pomyślna. Dom przynosił 140 rb. czynszu dzierżawnego od Stowarzyszenia Spółdzielczego,

warsztaty tkackie — 200 rb.

maślarnia — 150 „

kąpiele — 30 „

piekarnia — 15 „

pralnia — 15 „

nie licząc własnego lokalu Kasy, którego czynsz dzierżawny wynosił sto rubli rocznie.

Oczywiście iż nabycie Domu Ludowego nie można traktować jako dobrego interesu wyłącznie kupieckiego w dosłownym znaczeniu, było to raczej rozliczenie się pomiędzy instytucjami o różnych zadaniach społecznych, lecz z jednym celem głównym.

Wielka wojna pokrzyżowała plany, zadała cios, z którego kilka lat musiano się lizać. Uciekające

władze rosyjskie zagarnęły gotówkę, ogałacając i Kasę i setki podobnych instytucji ze wszystkich środków pieniężnych. Działalność Kasy trzeba było zawiesić na kołku. Z bujnie rozrastającej się instytucji, została nazwa, dom, trochę urzędzeń i... nadzieja odbudowy.

Ale odłóżmy na bok rzeczy przykre, cofnijmy się o kilka lat wstecz, by poznać rozwój nowej placówki, są to

WARSZTATY TKACKIE

Według danych statystycznych z roku 1905, zawartych w niezmiernie ciekawej pracy naukowej Zenona Pietkiewicza, wydanej w tymże roku, gubernia kaliska ówczesnego Królestwa Kongresowego (przechrzczonego na krótko przed wojną, przez czarnosecinną biurokrację na „Priwislińskij Kraj“), obok guberii płockiej, miała najwyższy odsetek bezrolnych, tych właśnie bandosów, których dolę opisał wielki pisarz, Żeromski, w „Słowie o bandosie“. Było ich aż jedenaście procent. Nie dziw tedy, iż przy marnym zarobku rocznym, nieprzekraczającym osiemdziesięciu rubli, nierzadko grubo mniej, robotnicy ci musieli szukać środków egzystencji. Znajdowali je w emigracji sezonowej na „Saksy“, dającej im nieporównanie lepsze zarobki, aniżeli znajdowali je w rodzinnym kraju. Gdzie właśnie leżała tajemnica, że robotnik rolny mógł w Niemczech uskładać sobie dwieście lub więcej rubli w ciągu sezonu, a tutaj musiał przymierać głodem? Tajemnica leżała w niebotycznie lepiej postawionym gospodarstwie rolnym, w całkowicie różnych warunkach ekonomicznych. Gdy u nas, na każdym kroku, zgrozę wywoływał prymitywizm: prymitywizm u chłopca, prymitywizm u zatabaczonego właściciela folwarczku, żyłującego robotnika bez myśli poczynienia gruntownych zmian, prymitywizm produkcji i prymitywizm potrzeb —

w Niemczech produkcja stała wyżej, a skala potrzeb — szkoda mówić!

Tym się też niechybnie tłumaczy działalność ks. Blizińskiego, w pierwszym rzędzie idąca w kierunku ekonomicznym. Można się nie zgadzać z tym, można krytykować wiele, jako należało zacząć od podstaw, od szkół. Ale za pozwoleniem! Jakim to cudem można było zakładać szkoły, skoro żandarm po piętach deptał, każdy elementarz, każdą książczynę poczytując za zamach stanu nieomal. Zresztą, zwrócono i na to uwagę, o czym powiem dalej.

Te to właśnie jedenaście procent bandosów leżało kamieniem na sercu każdego obywatela, znajdującego jako tako stosunki. Należało za wszelką cenę znaleźć zajęcie, skoro już nie dla zdrowych mięśni parobczańskich, to dla pośladku fizycznego; marnującego czas na bezmyślnym paseniu oblepionej gnojem krowiny, a gdy nadeszła zima nawet i tego „zajęcia“ pozbawionych. Taka jest geneza socjalna „Warsztatów tkackich“.

Niepomiernie małe do potrzeb ekonomicznych kraju, były środki zaradcze przedsięwzięte w Liskowie, świadczyły jednak one o zrozumieniu bolączki społecznej. Narazie parę warsztatów tkackich, ustawionych w domku kupionym od sklepikarza, o czym wiemy z rozdziału omawiającego powstanie Stowarzyszenia Spożycwców. Uchwała formalna członków spółki zapadła w tej mierze dnia 25 marca 1905 roku. Pomocy udzieliło Tow. Popierania Przemysłu Ludowego, w postaci ofiarowania jednego warsztatu tkackiego tudzież pokrycia kosztów utrzymania, w ciągu miesiąca, nauczyciela tkactwa; dwa warsztaty zakupił proboszcz z własnych funduszków — co razem przedstawiało trzy warsztaty; dwie uczennice, mieszkanki Liskowa, Studzińską i Waloszównę i... dużo dobrych chęci. To wszystko. Po kilku tygodniach dalsze kierownictwo objął niejaki Bartczak, człowiek miejscowy. Powstanie warsztatów zrodziło po-

trzebę ulepszenia produkcji lnu, podniesienie gatunku wełny. Dotychczas kobieciny wsiewały na splechotkach pola kilka garnicy lnu dla opędzenia swych nader małych potrzeb, teraz to nie wystarczało. Sprowadzono cztery korce siemienia przedniego z Rygi, rozsprzedając je miejscowym i okolicznym gosposiom.

W rok już, stwierdza ks. Bliziński na zebraniu konieczność powiększenia lokalu. Musiano poprzestać na dobrych chęciach z powodu braku środków na wzniesienie odpowiedniego budynku; narazie radzono sobie w ten sposób, że rozmieszczano je po domach gospodarzy. Pierwszy rok daje 39 rb. zysku; użyto go na zakup czwartego warsztatu; zanotowano również fakt zainteresowania się placówką, bo przybywa trzech uczniów na naukę tkactwa. W poprzednim roku zaszły zmiany osobowe w kierownictwie: Bartczak został usunięty wraz ze swoim pomocnikiem: jeden za niedociągnięcia fachowe, drugi, przykre to ale trzeba wspomnieć dla ścisłości, za... nadużycie zaufania. Bywa i tak. Wyroby liskowskie powoli torują sobie drogę na rynki zbytu, by w niedługim czasie zyskać sławę znakomitych tkanin, za które na Lisków spadły splendory w postaci dyplomów uznania na wystawach w Częstochowie i Kaliszu, nadane ks. Blizińskiemu przez Komitety Wystawowe w roku 1909. W czerwcu 1907 r. posiadał Lisków 20 warsztatów, z tych zaledwie trzy mieściły się w budynku przeznaczonym na nie, reszta, jak wspomniałem, rozproszona była po gospodarzach. Wartość produkcji dociągała sumy 400 rb. tygodniowo. Produkcję lniano-bawelnianą rozszerzono i na wełnę. Łączyły się z tym poważne trudności finansowe, bowiem o ile przy wyrobie materiałów lnianych lub wełnianych, wystarczyło mieć zapal do pracy, to, uzyskawszy sto rb. pożyczki na przedzę na jeden warsztat, śmiało — oczywiście nie żalując fatygi. — spłacić ją było można. Inaczej

z warsztatem na wełnianą produkcję. Tu już nakład szedł w setki rubli (300 rb warsztat), no i konieczna była większa specjalizacja. Ciekawe zjawisko. Ludność miejscowa odnosiła się dość nieufnie do wyrobów swojej produkcji Liskowskiej. — Zakupywano ochotnie w wielkich miastach, tkaczom liskowskim na wystawach dawano złote medale, w Warszawie, w Częstochowie, Kaliszu, — tutaj boczo- no się. Naprawdę, mądrze powiedziano: „nikt w swoim mieście nie jest prorokiem“.

Tymczasem nasza spółka robiła swoje: zakupiono wóz, konia, a pan majster jeździł od wsi do wsi, rzemiennym dyszlem, sprzedając towary.

W roku 1908 warsztaty zdobywają wreszcie odpowiednie pomieszczenie w nowo wzniesionym Domu Ludowym, wzrosła też i liczba ich, wynosząc 30, z których dwanaście rozmieszczono u gospodarzy. Następny, 1909 rok, daje poważny obrót 23.000 rb, przy czystym zysku 800 rb, rozdzielonym następująco: 500 rb na budowę kąpieli ludowych, trzysta na Dom Ludowy. W roku 1910 obrót nieznacznie spadł do sumy 22.648 rb. — W roku 1911 obrót wynosi 23.510 rb; zyski w tych latach utrzymały się w normie, 500 rb w każdym roku, przeznaczone na spłatę zobowiązań spółki. Kapitał zakładowy wynosił w roku 1912 tysiąc rubli, złożony z pięćdziesięci- złotowych udziałów, mogących być wniesionymi ra- tami. Snać solidna była to firma, skoro udzielały jej kredytu poważne instytucje finansowe, jak Bank Handlowy w Kaliszu — 2.000 rb., Tow. Wzajem- nego Kredytu — 1.000 rb., miejscowa Kasa Po- życzkowo-Oszczędnościowa (ta była siostrzaną in- stytucją) — 1.000 rb.

Tkaniny liskowskie zdobyły dalekie rynki zbytu, bo dotarły aż do Petersburga (dzisiejszego Lenin- gradu), wysyłano je do dalekiej Wołogdy, na Kau- kaz kwiecisty, do mroźnej Syberii, na Wołyń, Po- dole, nie licząc miast Kongresówki.

W roku 1912 zakupiono po raz pierwszy partie wełny na miejscu, za sumę 2.000 rb. Zainteresowanie warsztatami rosło coraz większe, póki u szczytowego ich rozwoju, ręka wojny nie zrujnowała dorobku ludzi.

Wojska niemieckie spaliły warsztaty przedstawiające wartość 1.500 rb, skonfiskowano nagromadzone tkaniny, pożar, wybuchły w Kaliszu podczas pamiętnych wyczynów brutalnego żołdaka, majora Preuskiera, (puszczającego ulewę kartaczy na bezbronne miasto), strawił sklep i to co w nim było, Strata wynosiła koło pięciu tysięcy rubli.

Pozostały ruiny i zgliszcza.

* * *

A teraz pozwolę sobie dodać kilka końcowych uwag odnoszących się do przedsięwzięcia, którego historię naszkicowałem.

Otóż warsztaty tego rodzaju nie mogły rozstrzygnąć wielkiej kwestii bandosów, bezrobocia na wsi; natomiast były widomym znakiem rozumnego podejścia do samego problemu, oczywiście w tamtych warunkach. Nie wskrzeszono ich z zupełnie zrozumiałych przyczyn: człowiek dzisiaj spychany jest przez maszynę, tempo produkcji daleko odbiegło od nietylko tamtych czasów; idziemy w butach już nie siedmiomilowych, ale stomilowych i przeszczipianie środków zaradczych tego rodzaju na grunt dzisiejszych warunków, byłoby anachronizmem technicznym, budowaniem rączkami dziecka tamy przeciwko rwącemu potokowi.

KÓŁKO ROLNICZE

Powstaje ono w roku 1906 na skutek ogólnego prądu, zmierzającego do podniesienia wsi z gospodarczego zastoju, pchnięcia jej na tory nowej, ulepszonej gospodarki. Działalność Kółek Rolniczych powiązana była poniekąd z działalnością polityczną, gdyż każda instytucja, powstająca w owym czasie,

przy zahamowaniu życia publicznego, braku ciał samorządowych, ciał politycznych, mogących dać ujście energii narodowej — stanowiła ośrodek myśli politycznej. Nawet strażę ogniową, surowo zabronioną za czasów posępnego, muzealnego typu reakcjonisty, Pobiedonoscewa,¹⁾ uważane były za rzecz drożną, kryjącą w sobie niebezpieczeństwo. Nie żart. Ta instytucja, bez której nie wyobrażamy sobie obecnie życia w oczach lanusowych typów, jak Goremykin, Pobiedonoscew, zaciekłych wrogów wszelkiego postępu i poprostu degeneratów na punkcie nienawiści plemiennej jak Hurko, nikczemnik, (renegat, wywodzący się z sławnej senatorskiej rodziny polskiej Górków) — uważane było za drożne. To, dygnitarze rosyjscy jak Maksymowicz, Margrafski, taki Trepow, siekący kulami żołdackich karabinów własny swój lud rosyjski, pod bokiem bezwolnej kukły-cara, taki sędzia Uwerski z sądu wojennego warszawskiego, pokrzykujący namiętnie: „ach ci rewolucjoniści! dusiłbym ich własnymi rękami“! — to typy chorobliwe, godne opieki tego lekarza. Im oddano kraj na pastwę, kraj własny, gdzie dokazywali wśród ciemnych muzyków ruskich rzeczy, od których włosy dębem mogą stać; kraj cudzy, gdzie bezceremonialnie deptali prawo.

W czasie gdy powstało Kółko Rolnicze, rewolucja rosyjska miała już za sobą największe natężenie; teraz, lubo umysły gorzały, przecież szala zwycięstwa przechylała się wyraźnie na stronę rządu. Ster nawy państwowej objął Piotr Arkadiewicz Stołypin, by nie wypuścić go aż do śmierci, zadanej mu kulą... członka ochrany i studenta Bogrowa¹⁾.

¹⁾ Pobiedonoscew, typowy reakcjonista, namiętnie nienawidzący Polaków i postępu, nadprokurator „Najświętszego Synodu, instytucji rządzącej cerkwią prawosławną, zastępujący monarchę, głowę cerkwi.

²⁾ wobec cara, na oczach dygnitarzy, w Kijowie, w teatrze w roku 1908.



Jednobl. szkoła powsz. do r. 1915. Jedyńy budynek kultur.-oświatowy
w czasie objęcia parafii przez ks. Blizińskiego 1900 r.



Szkoła powszechna (11 oddziałów – 500 dzieci).
<http://rcin.org.pl/ifis>

Stołypin był reakcjonistą, to prawda, lecz miał przynajmniej trochę rozumu, zorientował się, że monarchia skostniała w swych urządzeniach, że należy coś uczynić, aby wzburzone fale uspokoić, no i dotrzymać bodajby coś niecoś z obietnicy reform, rzucanej przez Wittego. „Najpierw uspokojenie, później reformy“, rzucił w Dumie słowa pod adresem atakującej go opozycji. Te reformy wyrażały się w pozwoleniu na tworzenie organizacji charakteru ściśle ekonomicznego, humanitarnego i... na niejasnych obietnicach wprowadzenia kiedyś samorządu. Narazie społeczeństwo chwyciło się tych skąpych możliwości i zawrzała praca. Rzucono się przede wszystkim w kierunku wsi, aby odrobić zaniedbania, by chłopą związać z innymi warstwami narodu, do czego miały służyć wiejskie organizacje.

Lisków był jedną z najpierwszych wsi mających Kółko Rolnicze. Skupiało w sobie poczynania dobrych ludzi, zmierzające, jak powiedziałem, do podniesienia kultury gospodarstw małorolnych. Grupowało różne elementy, z domieszką co postępowszego, światlejszego ziemiaństwa, pragnącego współpracować z chłopem jak sąsiad z sąsiadem. Po za różnymi pogadankami, odczytami, praktycznymi wskazówkami, Kółko usilnie zabiega koło pomnożenia inwentarza ruchomego na użytek małorolnych. Ma też dwa siewniki rządowe, wał pierścieniowy, kultywator, komplet narzędzi do czyszczenia ziarna, opielacz firmy „Planet“ i różne inne. Praca nie poszła na marne; mogliśmy się zorientować przy zestawianiu rachunków sklepu; w sprawozdaniu za rok 1903, gdzie figurują sumy: za sprzedane nasiona 60 rb, za nawóz sztuczny — 200 rb; gdy w roku 1912 sprzedano nawozów za poważną na owe czasy sumę — 10,800 rb, zaś narzędzi rolniczych za 2,230 rb. Efekt pożytecznej działalności bije w oczy, skoro zwrócimy uwagę na szkodliwy na punkcie gospodarczym konserwatyzm, rozmiłowanie naszego

włościanina w starych wzorach i brak — powiedzmy sobie bez owijania w bawełnę — dbałości o ochędostwo. Zresztą o tym pomówimy na końcu. Na czoło działaczy okolic Liskowa wybił się p. Antoni Piątkowski. Byli i inni, ludzie chętni, z umiłowaniem idei, naprzykład taki adwokat Radwan, zawsze spieszący z pomocą: już to samemu proboszczowi, już włościanom w postaci pogadanek i porad prawnych; bywał i p. Wyganowski z Pietrzykowa, i doktorowa Chmielińska, Moczydłowska, późniejsza posłanka, i różni z różnych stron, wszelako z tych osobistości na wyróżnienie zasługuje ten człowiek, bodajby za jego prace w Szkole Rolniczej, przeżywającej najgłośniejsze swoje chwile w czasie gdy był tam kierownikiem. P. Piątkowski to nie pięknoduch pełen uniesień, cukrowatych słówek, sypiący gładko utoczonymi frazesami. Spokojny, opanowany, może trochę na oko przyciężki, lecz serce złote, głowa otwarta, natura subtelna. Opowiadali mi chłopcy, co ja mówię... chłopcy do powały, dzieciacie od paru lat, o swoim nauczycielu z takim zapalem, z takim uczuciem aż zdziwiłem się. Ano, umiał zniewolić do siebie, umiał też, — najważniejsze — podnieść wysoko kurs, chłopcy wychodzili z wiadomościami teoretycznymi i praktycznymi „expedit“.

Był też prelegentem w Liskowie nie byle kto: STANISŁAW WOJCIECHOWSKI; nie przewidywał iż w niebardzo odległym czasie zjawi się tutaj w jakże odmiennych okolicznościach, — w majestacie najwyższego zwierzchnika i przedstawiciela Potęgi Rzeczypospolitej Polskiej.

Dalej podkreślić należy projekt wybudowania kolejki wąskotorowej konnej, nie doszły do skutku: już to z powodu oporu władz rosyjskich, (ze względów strategicznych?!) nie dopuszczających do urzeczywistnienia zamiaru, już to, potem, z powodu wojny odłożony; obecnie nie było sensu budować kolejkę gdy komunikacja autobusowa wypiera koleje,

będąc bardziej elastyczną, tym samym dogodniejszą dla podróżnych.

Staraniem Kółka odbył się dnia 6 października 1913 roku pokaz inwentarza, dość licznie obeślany. Zawdzięczając Kółku powstały sady we wsi i w okolicy, lubo trzeba otwarcie powiedzieć że jakoś ociężałe się do nich brano. Konserwatyzm nie na miejscu pokutuje do dziś dnia wśród poniektórych.

Kto wie, może to takie sobie uprzedzenie, strach przed nowatorstwem. Żółwie w ludzkiej postaci: siedzi w skorupie i siedzi.

Kółko Rolnicze przechodziło różne fazy, by ostatnio istnieć pod egidą Tow. Org. i Kółek Rolniczych, na której czele w charakterze prezesa okręgu kaliskiego stoi p. Piątkowski, jednocząc w sobie funkcje przewodniczącego miejscowej również organizacji.

DOM LUDOWY

Duże perypetie przechodził ks. Bliziński w związku z budową tego domu, którego potrzebę odczuwał i sam organizator Liskowa i jego współpracownicy. Z roku na rok wzrastająca liczba instytucji, narzucała konieczność ześrodkowania ich w odpowiednim budynku, wyglądającym po europejsku. Aliści piętrzyły się przeszkody różnorakie: trochę niezrozumienie wśród miejscowego społeczeństwa, trochę obawa przed trudnościami finansowymi, a na ostatku: stanowisko władz rosyjskich z góry nastawionych przeciwko tego rodzaju pomysłom. Wielokrotnie wznawiana kwestia znalazła wreszcie zrealizowanie dzięki inicjatywie rzutkiego proboszcza, dla którego nie groźne były wysuwane trudności.

W Liskowie tuż koło kościoła leżał — niemal odłogiem — kawał ziemi, obejmujący pół morgi, a należący do spadkobierców po małżonkach Jaro-

mach; między spadkobiercami byli i małoletni. Ale istniał nieprzełamany, zdało się szkopał: prawo wydane po uwłaszczeniu włościan, zabraniało może i słusznie, może nie — zbywania i nabywania działek ziemi „ukazowej“, (nadanej ukazem cara Aleksandra — caria oswoboditielia — z dnia 2 marca 1864 roku, „O urządzeniu włościan w stosunku do ziemi“). Pozatym, o czem wspomniałem, pomiędzy spadkobiercami byli niepełnoletni, nad którymi czuwała „opieka“. Ani w tę ani w inną stronę się ruszyć. Co tedy robi ks. Bliziński: kupuje na prywatny kwit wspomnianą działkę za sumę 380 rubli, mimo ostrzeżeń adwokata Radwaną, jako może wyniknąć poważny ambaras z owej tranzakcji, bo: pierwsze — ziemia „ukazowa“, może przechodzić wyłącznie do rąk włościańskich; po drugie — nie wolno kupować działek mniejszych aniżeli sześć morgów, a po trzecie, kupna dokonano bez rejenta; wogóle całej tranzakcji dokonano „jure caduco“, oczywiście nie w rozumieniu pogwałcenia prawa moralnego, lecz srodze zlekceważono ustawy carskie. A na to ks. Bliziński:

— Przystępujemy do budowy natychmiast, jak dom stanie nikt go nie zburzy! — Ha, cóż na takie „dictum“ miał odpowiedzieć adwokat. Pomyślał sobie tylko zapewne: — Chcesz człeczce koty z prawem drzeć — drzyj; w razie czego, podążę z sukursem. Budowę postawiono; rychło też przystąpiono do roboty.

Dla dokładności muszę dodać, iż pierwotnie istniał zamiar budowania Domu Ludowego na placu, na którym wznosiła się rudera, służąca za pomieszczenie szkoły. Nie darmo przysłowie powiada: „Pan Bóg da kupca a diabeł faktora“. Skoro rzucono ów projekt, podbechtana przez warcholów część gromady podniosła krzyk:

— Szkołę nam chcą ze wsi wyrzucić hen na wygwizdów, nie dopuścić do tego! Ironia losu chciała, że tutaj sprawdziły się słowa genialnego wie-

szcza A. Mickiewicza: „Ręce za lud walczące, sam lud poobcina, imion miłych ludowi — lud pozapomina“. Biedni, nie wiedzieli że byli wyłącznie narzędziem w rękach złośliwców. Ale postawili na swoim. Wystąpiło kilku gminiaków do Dyrekcji Okręgu Naukowego z podaniem, jak oto ksiądz chce usunąć szkołę ze wsi, by na jej miejsce wybudować jakiś tam Dom Ludowy. Oczywiście, „naczalstwo“ od razu zwęszyło „kramolę“ i wyznaczono śledztwo. Wzięci na spytki inicjatorzy podania potroszę wycofali się z afery, reszta, trzech najzawziętszych, stała twardo przy swoim i niestety, dopięli celu: dom musiał być budowany na innym miejscu, to jest tam, gdzie do dziś dnia stoi.

Uporawszy się z placem należało pomyśleć o środkach. Znalazły się one również.

Muzeum Przemysłu i Rolnictwa ofiarowało	1,000 rb.
Kuratorium Trzeźwości	250 „
Spółka Tkacka ¹⁾	1,000 „
prywatna pożyczka	2,000 rb.
ksiądz Bliziński	1,000 „
zebrane z „Jasełek“	900 „
wypuszczone w tym celu akcje	1,200 „
drobne ofiary	100 „
ze sprzedaży domu parafialnego wpłynęło	900 „
razem	6,930 „

Posypały się również ofiary od osób prywatnych w naturze; żwir ofiarowali dwaj gospodarze, zwózkę materiałów — parafianie, do których zaapelował proboszcz. Pospieszili wszyscy, jedna z kobiet, mając chorego męża, zastąpiła go w pracy, inna, uboga wdowa, nie mogąc (bo nie miała z czym), stawić się do zwózki, ofiarowała tak, z pod serca, rubla. Wzruszający to zaiste przykład ofiarności prostego lu-

¹⁾ Wpłacone zgóry przez Tow. Opieki nad Dzieckiem w Warszawie, za utrzymanie i naukę dzieci tkactwa, co spółka tkacka, przekazała na budowę.

du, który nie tyle zapewne rozumem ile instynktem wyczuł dobro społeczne. Wyjątkiem okazali się trzej z całej rzeszy chętnych do pomocy, ci właśnie, którzy podawali „papier do urzędu“ ze sprzeciwem. Pospieżyli z pomocą i niektórzy obywatele, a pomiędzy nimi, znany z życzliwości do ludu i jego spraw, p. Unrug z Sulimowa ofiarował na ten cel gotówkę ze sprzedaży domku, stanowiącego jego własność wartości 550 rb; p. Romocki dał dwanaście sztuk drzewa budulcowego, pp. Gościmscy z Rożdżał dwa dęby.

Dnia 3 kwietnia 1907 roku odbyło się ogólne zebranie spółki, na którym postanowiono powierzyć roboty ciesielskie i murarskie rzemieślnikom zamieszkałym w parafii liskowskiej, sprowadzić wagon wapna bezpośrednio z kopalni za pośrednictwem Tow. Rolniczego, zwieść wspomniane darmo.

Kamienie na fundament ofiarowała Spółka w Będziechowie, do której proboszcz zwrócił się z prośbą; wynosiło to 36 wozów. W dniu 12 marca 1907 roku na zebraniu podpisano dokument, przeznaczony do wmurowania w kamieniu węgielnym, zawierający historię rozpoczęcia budowy, a w dniu 19 maja tegoż roku, wobec licznej rzeszy parafian, ks. Bliziński dokonał aktu poświęcenia fundamentów.

Kosztorys domu miał wynieść, według obliczeń inżyniera Ortha z Warszawy, który sporządził plan i nadzorował budowlę — 11 tysięcy rubli. Dzięki atoli ofiarności parafian, koszt budowy nie przekroczył sumy 8 tysięcy rubli.

Doczekano nareszcie szczęśliwej chwili, gdy stanął gotowy, jeden z najpierwszych domów ludowych na ziemiach byłej Kongresówki. Gotowali się wszyscy do wielkiej uroczystości poświęcenia go. Wieś przystroiła się odświętnie, tłumy ściągnęły do Liskowa, zjechali i goście z Warszawy: duchowieństwo, przedstawiciele Centralnego Towarzystwa Rolniczego, garść ziemian, i oczywiście z Kalisza szereg osób

związanych z proboszczem już to węzłami przyjaźni, już to pracą społeczną. Uroczystość odbyła się w piękny letni dzień, 24 sierpnia 1908 roku. Dom Ludowy tonął w kwieciu i zieleni. Uroczystość rozpoczęto nabożeństwem w miejscowym kościele, na którym kazanie do słów ewangelii „o uzdrowieniu głuchoniemego“ wygłosił ks. prałat Skarzyński z Warszawy, po czym wszyscy goście przeszli do gmachu, gdzie poświęcenia dokonał ks. Bliźński, wygłaszając mowę, którą niżej w skrócie podaję:

„Witajcie nam szanowni goście! ...po paroletniej pracy, utrudnionej wieloma przeszkodami, paraliżującymi i opóźniającymi nasze najlepsze zamiary, udało się nam doczekać wreszcie tej upragnionej chwili poświęcenia Domu Ludowego. Zaprosiliśmy was, szanowni i drodzy goście, nie dla tego, by pochwalić się przed wami, że dokonaliśmy wielkiego dzieła — nie! Dzieło to bowiem sami jeszcze uważamy za bardzo niedoskonałe, wiele pozostawiające do życzenia, a że stanęło ono, to zasługa nie tylko nas samych ale i zacnych sąsiadów, przyjaciół — obywateli, których widzimy dziś pośród zebranych gości naszych. Ileż to razy pośpieszyliście z dobrą radą, nie raz z pomocą czynną lub ze słowami otuchy!

Do dzieła każdy z nas przyłożył cegiełkę w miarę sił i możliwości. Zaprosiliśmy was, drodzy bracia nasi, byście wspólnie z nami dzielili radość iż na gruncie naszym stanęła placówka oświaty i kultury, a także, by prosić was o dalszą wspólną pracę.

Wszyscy to wiemy, że w ludzkie naszym tkwi siła, tylko jeszcze uśpiona, nieświadoma samej siebie. Lud jest najliczniejszym żywiołem narodu polskiego; większość to potęga. Siłę tę mamy obudzić, uszlachetnić, wykształcić, ten martwy kruszec wydobyć, przetopić, a zabłyśnie czystym złotem. Lud polski dźwignąć z wiekowej ciemnoty, podnieść go — oto cel naszej pracy, cel, który z ludu naszego stworzyć może istotną potęgę, prze-

ważającą w przyszłości szalę na korzyść naszego biednego kraju i narodu. Do takiej pracy przy dzisiejszym święcie zapraszamy was, zaciśni obywatele i goście nasi. Tu, w tym Domu Ludowym, obok gwaru nauki dziecięcej, obok warczenia i stuku warsztatów tkackich, rozlegnie się może w przyszłości, od czasu do czasu, głos którego z panów, przemawiający do ludu w sprawach czy to rolnych, czy społecznych — głos rzucający promyk światła i postępu do surowych umysłów ludu naszego. Ten Dom Ludowy ma być nietylko szkołą dla dzieci, nietylko pomieszczeniem na sklep spółdzielczy, przemysł domowy, Kasę Przeworności, nietylko miejscem rozrywki, zabawy — lecz ma być niejako pochodnią, rozsiewającą światło dla ludu w okolicy bez różnicy wieku“.

Że stanie on na takim poziomie, jestem najmocniej przekonany, nawet gdyby przyszłość, skutkiem zbiegu różnych okoliczności usunęła mą rękę, od kierowania nim“.

Po poświęceniu odbyła się zabawa na błoniach, połączona z loterią fantową.

Pierwszym lokatorem nowego budynku było, oczywiście Stowarzyszenie Spożywców, za opłatą czynszu dzierżawnego w stosunku rocznym, 140 rb; przeniesiono tam również warsztat tkacki, za opłatą 200 rb rocznie, pozatem, wszystkie instytucje społeczne, jak Kółko Rolnicze i tp.

* * *

Okoliczności, o których napomknął ks. Bliziński przy poświęceniu Domu Ludowego, rychło miały się okazać.

Wiadomo nam o uchybieniach prawnych, jakich się dopuścił ks. Bliziński przy kupnie placu, do czego był zmuszony niemożnością zamiany placu szkolnego na inny. Zła wola tępych, skarłałych w niewoli dusz, pokrzyżowała zamierzenia. Bądź co bądź nowo



<http://rcin.org.pl/ifis>
Pawilon Zakładu Opiekuńczo-wychowawczego dla chłopców.

<http://rcin.org.pl/ifis>

wzniesiony dom stanął na ziemi nabytej z pominięciem obowiązującego wówczas prawa. Póki komisarzem do spraw włościańskich był Miller, syn gubernatora piotrkowskiego, człowiek z trochę sentymentu w duszy (z uwagi na matkę Polkę), przy tym człek z europejską ogładą — patrzył na to przez palce. Skargi, donosy, nie dużo mogły u niego wskórać. Lecz Miller został przeniesiony na inne stanowisko, na jego miejsce przyszedł komisarz Gryniów, podlec jakiego ze świecą szukać. Gryniów nuże basować dawnym właścicielom kawałka gruntu, gdzie obecnie stał Dom Ludowy, aż wmówił w naiwnych; a łapczywych na pieniądze, że mogą grubo na tym interesie zarobić, a kto wie, może nawet proboszcz pójdzie do kozy. Miał przytym za sobą całą biurokrację gubernialną u której ks. Bliziński zdołał sobie wyrobić już wtenczas reputację „kramolnika“ że ha!

Zresztą, nietylko proboszcz ale cała wieś od przybycia ks. Blizińskiego uchodziła za gniazdo szerszeni polskich, którzy spędzali sen z powiek „naczelstwu“. Opowiadał mi osobiście, dobrze pamiętający te czasy, siedemdziesięcioczeroletni gospodarz, Janiak, jeżdżący do Kalisza w sprawie uwolnienia aresztowanych dwu braci Krychów i swego krewniaka, co nacudowano nad nim.

— Wasz Lisków nie wart nic więcej, jak tylko wycelować na niego armaty i rozbić w perzynę! — pinił się dygnitarz powiatowy.

Chłopina z duszą na ramieniu wytrzymał huragan słów, byle tylko wydobyć z kozy sąsiadów. O resztę nie dbał.

Udając pokorę kiwał potulnie głową, co miało znaczyć jak bardzo bierze do serca przemowę.

Wróćmy do sprawy Domu Ludowego.

Panu Gryniowowi, czynownictwu powiatowemu, uśmiechała się błoga wizja: zburzyć dom, zniszczyć placówki społeczno-kulturalne, a proboszcza, och, tego pognać do oddalonych gubernii imperium.

Wystąpili więc właściciele placu ze skargą do sądu gminnego o unieważnienie aktu kupna—sprzedaży, jako dokonanego z pominięciem formalności prawnych, wysuwając Bóg wie jakie zastrzeżenia, oczywiście znajduwane przez Gryniowa. W sądzie gminnym ks. Bliziński wygrał; zaapelowano do drugiej instancji, przy czym okazało się, że apelacje pisał sam komisarz. Więc dowodził niby to w imieniu „pokrzywdzonych“, że oni, to jest podpisani Jaromowie, nie przypuszczali, że na placu stanie jakiś „narodnyj dom“, że znajdzie w nim pomieszczenie sklep, Kasa Pożyczkowa, warsztaty, sala zebrań, itp. — co jest — zdaniem ich — zbędne i mąci spokój mieszkańców wsi. Argumenty nie tyle mądre ile przekonywujące ...sądy i rządy carskie. Aliści znaleźli się sędziowie w Rosji: druga instancja powództwo skarżących oddaliła. Pozwanemu kamień spadł z serca. No, sprawa — myślał — skończona. Okazało się że nie, że Gryniów nie dał za wygraną; wszczyła sprawę z urzędu, jako że niby pogwałcono literę prawa, a on jest tej litery gorliwym stróżem i nie może pozwolić na coś podobnego. I przy tym pełni funkcję opiekuna interesów włościańskich. Nie było najmniejszego złudzenia; teraz, w delikatnych rączkach pana Gryniowa sprawa skazana została z góry na przegrane: on wszak stanowił instancję. Jakoż przegrano ją. Wniósł tedy adwokat Radwan odwołanie do Komisji Włościańskiej, licząc — jak pisał — na więcej rozumu u niej. Próżne złudzenie: Komisja wzięła stronę Gryniowa. Orzeczenie Komisji brzmiało krótko i węzłowato: Dom Ludowy usunąć z placu, nabytego z pogwałceniem litery prawa. Cios wymierzony został w samo serce. Tego tylko oczekiwano.

Doprawdy, nie można się powstrzymać od bardzo cierpkiej uwagi pod adresem tych, którzy działali wspólnie z przedstawicielem zaborczej władzy, przeciwko przedstawicielowi własnego społeczeń-

stwa; przedstawicielowi wartości stanowiących chlubę kultury polskiej, kultury zachodniej, którzy stali się, chcieli się stać instrumentem w rękach fanatycznego wroga imienia polskiego. Usprawiedliwić ich może jedynie równie fanatyczna nienawiść do wszystkiego, co reprezentowało — tak czy nie — świat dawnej krzywdy, zapiekły w sercach ból, tradycje okrutnego błędu historycznego. To jedno, więcej nic, a nic!

Po zatwierdzeniu przez Komisję Włościańską orzeczenia Gryniowa, niebawem zjechał do Liskowa prezes tejże, Kobro, dla obwieszczenia drakońskiego wyroku. Uczynił to w myśl podważenia w oczach ludności autorytetu księdza. Dokonawszy swej czynności, Kobro, bratnia duszyczka Gryniowa, w słowach słodko-łzawych zwrócił się, niby to żałując, że taki piękny dom przyjdzie zburzyć. Była to perfidia. Na to ks. Bliziński:

— Prędeż takim postępowaniem zburzycie wasze państwo, aniżeli ja ten dom rozwalę.

Ani ks. Bliziński, ani pyszny przedstawiciel samodzięzawia, nie przypuszczali jak szybko miała się przepowiednia przyoblec w kształty rzeczywistości. Syt zemsty, pan Kobro wyjechał; ks. Bliziński zaś wszczął starania, apelując do senatu w Petersburgu. Wyrok, dzięki osobistym wpływom byłego gubernatora kaliskiego, Daragana, do którego zwrócono się z listem, wypadł przychylnie; senat skasował orzeczenie Komisji. Przyszedł ów ostateczny wyrok senatu rządzącego do Liskowa na parę tygodni zaledwie przed wojną. Dom Ludowy ocalał.

Nie ocalało tylko państwo Gryniowów, Kobrów i im podobnych. Pozostał po nim swąd przykrych wspomnień i gruzy tego, co czczono. Ciemnota mużycka, hołubiona przez rozbestwione czynownictwo, zrobiła z nim porządek: kamień na kamieniu z budowli ich nie pozostało.

STRAŻ OGNIOWA

Pobudzona wypadkami lat rewolucyjnych energia społeczeństwa, płynęła coraz szerszym łóżyskiem, mimo wysiłków powstrzymania jej rozpędu, wtłoczenia w ciasne ramki, o wiele za ciasne do sił drzemiących, do dynamiki społecznej narodu. Co nie mogło wyhynać na światło dzienne, płynęło nurtem podziemnym, niby ów strumień leśny ukryty w szuwarach, stłumionym wód bełkotem dając znać o sobie. Niby pszczoły na wiosnę, prawiecznym instynktem czujące bliskość lata, poprzez grube bierwiono uła burzą się, — tak rok 1904, za nim piąty i szósty, odegrały ważką rolę w życiu narodu: obudzenia jego siły żywotnej.

Jednym z przejawów tego, to powstawanie straży ogniowych, mimo i wbrew hamulcom biurokracycznym. Bo straż ogniowa, w oczach zaborców stawała się groźnym widmem zorganizowanej siły, w społeczeństwie budziła dalekie echa przeszłości, nasuwała myśli tęskne a niespokojne...

W Liskowie Straż Ogniowa powstała w roku 1908. Związek jej tkwił w omówionym w jednym z poprzednich rozdziałów, Wzajemnym Ubezpieczeniu od Pożarów, powstałym w roku 1902. Uciułano wówczas kilkaset rubli, za które po troszę nabywano sprzęt strażacki. Gorzej przedstawiała się sprawa z zatwierdzeniem: nie można było się go doczekać. Przyszło interweniować u satrapy gubernialnego. O osobistej interwencji ks. Blizińskiego nie mogło być mowy, przy nastawieniu władz do tegoż; podjął się jej wybitny adwokat kaliski i druh proboszcza liskowskiego, mecenas Józef Radwan. Odpowiedź wypadła pozytywnie: straż w Liskowie zostanie zatwierdzona pod warunkiem, aby prezesem jej nie został ks. Bliziński oraz że nie będzie wogóle figurował w zarządzie i on, adwokat Radwan, bierze na siebie odpowiedzialność za Straż i jej działalność. Rzucono

tedy na pożarcie gubernialnemu smokowi nazwisko proboszcza, byle uzyskać formalną legalizację. Me-cenas Radwan figurował w charakterze nominalnego prezesa, ks. Bliziński faktycznie sprawował rządu w Straży.

Przetrwano aż do wielkiej wojny w tym stanie, póki Rosjanie nie opuścili Polski.

Obecnie Straż Ogniowa podzielona jest na cztery oddziały, rozmieszczone w następujących ośrodkach: w Liskowie, Strzałkowie, Zakrzynie, Kozłatkowie; stanowi organizacyjną całość, z siedzibą sztabu w Liskowie, a kierownictwem oddziału pozostającym w rękach mieszkańca danej wsi, gdzie znajduje się oddział. Posiada orkiestrę zgraną, złożoną z dwudziestu dwu instrumentów, pozostającą pod — jak na wiejskie stosunki — dobrą batutą miejscowego organisty. Rekwizyty przedstawiają poważną wartość ratowniczą, jak również wyćwiczenie, skoro na konkursach straży ogniowych, niejednokrotnie wyróżniają ją.

Tyle o Straży Ogniowej by przejść do opisu

SZKOŁY ROLNICZEJ¹⁾

Nim przystąpię do historii powstania i rozwoju Szkoły Rolniczej¹⁾ pozwolę sobie przytoczyć następujący, wcale nie z bujnej fantazji literackiej wysnuty obrazek:

Syn gospodarza, posiadającego trzydzieści morgów ziemi, powraca z emigracji z „saksów“, gdzie przez sezon zarobił aż dwieście rubli. Oczywiście, działo się to na krótko przed wojną światową. Młody człowiek rozplywa się nad układem tamecznych stosunków, pozwalających mu przynieść ojcom „tylacha“ pieniędzy. Obecny przy tym człowiek rozsądny, co nie z jednego pieca chleb jadł, nawet współpracow-

¹⁾ Obecnie Szkoły Hodowlano-Społecznej.

nik którejś z instytucji liskowskich, zagadnął opowiadającego:

— Mój kochany, powiedz mi: dużo on, ten Niemiec, u którego pracowałeś, ma ziemi?

— O, on ma dużo! Trzydzieści morgów magdeburskich.¹⁾

— Mój kochasiu, a iluż was u niego pracowało robotników?

— Ośmiu — brzmi odpowiedź zdumionego indagacją parobczaka.

— A jak mieszka — ładnie?

...ho, ho! lepiej niżli niejeden dziedzic u nas!

— Widzicie, więc tamten na połowie ziemi którą posiada wasz ojciec daje utrzymanie kilku ludziom, mieszka lepiej niżli dziedzic; a wy na dwa razy bez mała takim obszarze siedzący, szukacie u niego chleba.

— ...szukamy, bo musimy, u niego gospodaruje się inaczej. Co tam za żyta, jakie pszenice a buraki, a inne zboża! A jakie maszyny, a te popioły wymyśleń i obróbka. ...Gdzie nasze do nich?!

Ta, nie wyszana z palca rozmowa, najlepiej charakteryzuje przeraźliwe zacofanie gospodarki na naszych wsiach. Tam gospodarz, — tak zwany „bauer“, dzięki kulturze rolnej, potrafił żyć dostatnio na skrawku ziemi mniejszym aniżeli posiadany przez naszego chłopą, gdy tenże wysyłał syna po zarobek na emigrację, nie widząc u siebie możliwości wyciągnięcia z gospodarki więcej ponad wegetację. Zastraszające zjawisko prymitywizmu, groźne w skutkach trwonienie skarbów: siły ludzkiej, ziemi — wyjałowionej papraniną — i... opuszczania własnego podwórka dla wyrabiania komuś, częstokroć wrogo usposobionemu do narodu, dobrobytu.

¹⁾ Trzydzieści morgów mag. równa się piętnastu morgom naszym.

Na emigrację szedł wyłącznie najlepszy materiał ludzki, tak fizycznie jak i zawodowo przygotowany; towaru lichego nie przyjmowano. Ten materiał wyzyskiwali obcy dla przysparzania dobra swojego, by, po wyzyskaniu sił żywotnych wyżyć się go, rzucić na łom¹⁾ oddać go krajowi macierzystemu, lecz w stanie nieużycia do wytwarzania nowych dóbr.

Nie mówić, lecz krzyczyć wielkim głosem należy:

Wyrwać wieś polską z jej prymitywizmu!

Nie potrzeba do tego rozidealizowanych miłośników „wieśniaka“, ani ckliwości; nie trzeba uczonych artykułów, płataniny ustaw, przyjmowanych z przekąsem, częstokroć lekceważeniem — trzeba i należy dać mądre prawo, bodajby było twarde i surowe. Niech to prawo obowiązuje istotnie, a nie będzie czczym papierem bez treści życiowej.

* * *

Nie szukajmy daleko, weźmy przykład z naszej północnej małej sąsiadki Danii; mleczność przeciętna krowy w Danii wynosi 3,200 litrów mleka na rok, gdy mleczność przeciętna naszej krowiny, pasionej do dziś dnia przez starego dziadka na wywieisku lub na rowie przydrożnym, lub przez wyrostka lub dziewczynę (zarywa czas przeznaczony na naukę w szkole), wynosi 800 litrów mleka bez porównania chudsze; obecnie stan ten poprawił się na rzecz Polski, dochodząc do 1.400 litr. rocznie. Daję dla przykładu opis fermi duńskiej — p. Przygodzkiego z Zakrzyna — będącego na praktyce w niej przed kilkoma latami.

Gospodarstwo o obszarze 25 ha, ziemi ornej, ciężkiej, nieprzepuszczalnej, zlej do uprawy. Inwentarz: krów dwadzieścia dwie, przeciętna mleczność od krowy w oborze — 3,900 litrów przy tłuszczu 3.75%, 3 jałówki, 7 cieląt, świń — 9 macior, wydają prosięta dla większych chlewni, oraz 3 konie.

¹⁾ tak zwany z niemiecka: szmelc.

Co się uprawia na posiadanym obszarze 25 ha równającym się naszym 44 morgom, zaraz zobaczymy. A więc: 3 ha — buraki pastewne, 3 ha — na brukiew, na paszę dla krów, pół ha na rzepę, 6 ha na koniczynę i trawy, 2 ha na mieszanki, 5 ha na pszenicę, 2 ha na owies, 2 ha na jęczmień, półtora ha zajmują zabudowania, ogród warzywny i owocowy, (kartofle uprawiają jak warzywa).

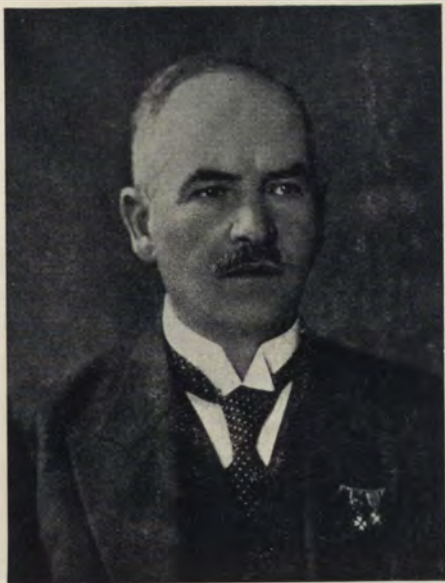
Z powyższego wynika, że gospodarstwo duńskie nastawione jest na produkcję hodowlaną i wytwarza przeważnie paszę. Obora jest źródłem, z którego gospodarstwo czerpie zyski, ziarno wytworzone idzie przeważnie na paszę dla inwentarza. P. Przygodzki słusznie dodaje od siebie komentarz: Oto jest obraz co może zrobić człowiek oświecony.

Nasze stosunki ekonomiczne, nasze warunki glabowe, mogłyby stworzyć z kraju potężny rezerwuar produktów rolnych, podnosząc jednocześnie skalę potrzeb mieszkańca wsi, pociągając za sobą zwiększenie chłonności rynku wewnętrznego na wytwórczość miejską. Chłop czy robotnik, spauperyzowany dzisiaj, zniżający się w swych potrzebach do wymagań kulisa chińskiego, mógłby istotnie przedstawiać siłę gospodarczą, siłę fizyczną, bo on swą masą przytłacza wszystkie inne warstwy.

* * *

Za punkt wyjścia z prymitywizmu gospodarki rolnej ks. Bliziński uznał stworzenie placówki, mogącej wnieść ożywczy prąd w atmosferę lamusa, panującą wówczas, a poniekąd, w niektórych okolicach do dzisiaj. Taką placówką była¹⁾ SZKOŁA ROLNICZA, wykończona na krótko przed wojną, bo w roku 1913. Już w roku 1907 urządzono w Liskowie doradcze kursa rolnicze, jedno i trzymiesięczne, dla mężczyzn i kobiet; kursa też owe nasunęły myśl rozwinięcia ich w stałą placówkę. Przedstawiony Cen-

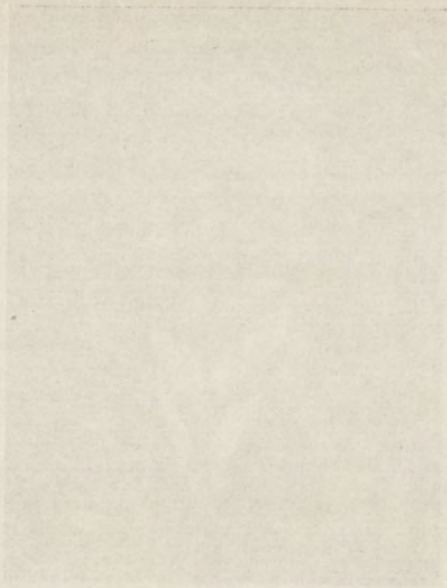
¹⁾ Obecnie Szkoła Hodowlano-Społeczna.



†p. radca Antoni Piątkowski.



<http://rcin.org.pl/fis>
Szkoła Hodowlano-Rolnicza.



tralnemu Tow. Rolniczemu projekt zyskał uznanie i aprobatę powołanych organów tej instytucji. Zakrzętnięto się koło zrealizowania go. Wyłoniono Komitet Budowy w składzie: ks. Bliźnińskiego, Antoniego Wieniawskiego, — wiceprezesa C. T. Rol. — Ludomiła Puławskiego z Grzymiszewa, inż. Chmielewskiego, p. Stefana Grabskiego z Demska i p. Zygmunta Siemiątkowskiego z Męckiej Woli (pow. sieradzki). Fundusze na ten cel zebrano drogą ofiar w gotowiźnie i w naturze. Baronowa Taube ofiarowała 15. tysięcy rubli, p. p. Pułaski i Siemiątkowski 7,500 rb., pp. Zofia i Helena Pułaskie — 3.000 rb., Wydział Mleczarski C. T. R. — 3,500 rb., ks. Bliźniński i p. Antoni Piątkowski po 500 rb. = 1000 rb., p. Bojanowska — 2.000 rb., firmy Alfa-Lawal, Kowalski i Trylski, obdarzyły powstającą szkołę przyrzadami i pomocami naukowymi, parafianie zwieźli połowę materiału na budowę bezpłatnie.

Za zebrany fundusz zakupiono szesnaście morgów ziemi, płacąc 7.000 rb., resztę używszy na wzniesienie gmachu szkolnego. Jakoż w niedługim czasie stanął imponujący budynek, wyposażony w wszelkie nowoczesne urządzenia: z centralnym ogrzewaniem, elektrycznością, wodociągiem, skanalizowany — jednym słowem zastosowano znane wówczas urządzenia techniczne. W nim znalazła pomieszczenie wzorowa mleczarnia, laboratorium mleczarskie, sala wykładów oraz internat na kilkudziesięciu słuchaczy. W roku 1914 w nowym gmachu uruchomiono pierwszy kurs trzymiesięczny, przy 40 słuchaczach, rekrutujących się z młodzieży włościańskiej, nieraz odległych okolic kraju. Wbrew intencji organizatora, nie można było odrazu stworzyć kursu dłuższego, z uwagi na braki w zaopatrzeniu szkoły w potrzebne do nauki utensylia. Lecz na bezrybiu i rak i ryba; nawet to, było pchnięciem naprzód sprawy wykwalifikowania rolników, mogących wnieść ożywcze prądy do zadawnionej stęchlizny gospodarowania sposobem, prakty-

kowanym od pierwszych rodziców w raj. Kierownictwo objął p. inżynier Wacław Dąbrowski. Na przeszkodzie rozwojowi wielce pożytecznej placówki stanęła wybuchła wojna. W działalności szkoły nastąpiła wyrwa, rychło atoli załatana. Narazie gmach zajęły fale uciekinierów z rozgromionego Kalisza, znajdując w nim schronisko na dłuższy okres. Dalejsze losy Szkoły opowiem w jednym z następnych rozdziałów, przechodząc obecnie do omówienia innej instytucji, którą jest

MLECZARNIA SPÓŁDZIELCZA

W uwagach wstępnych do powstania Szkoły Rolniczej, przytoczyłem porównanie produkcji naszego gospodarstwa wiejskiego, a krajów zachodnich, posługując się danymi p. Przygodzkiego z Zakrzyna. Gdy tam, na przykład w Danii, mleczność krów dochodzi przeciętnie w stosunku rocznym do 3.200 litrów mleka, jakże ubożuchno przedstawia się ona u nas, wyrażając się przeciętną wydajnością krowy: ośmiolet na rok, mleka bez porównania o mniejszym procencie tłuszczu? Krowa odgrywa w naszym gospodarstwie małorolnym lub średniorolnym rolę wtórną. Hodowla stoi na poziomie bardzo niskim, nasze bydło to żywy obraz opuszczenia: niechlujstwo, niedożywianie, zaniedbania prowadzą do opłakanych wyników. Nie dziwić się że w latach: u schyłku dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku — głucho było o jakichś mleczarniach spółdzielczych.

Myśl założenia takiej mleczarni kołatała się od dawna po głowie ks. Blizińskiego. Poruszano ją na zebraniach spółki, w skromnym pokoiku przyległym do sklepu, by ostatecznie przybrać w kształty realne w kilka lat potem. Już w roku 1904 organizator nowoczesnego Liskowa proponował założenie spółdzielni mleczarskiej — napróżno. Słowa padały na opokę uprzedzenia. W roku 1906, rzucono propozycję ubez-

pieczenia bydła, co przyjęto; ruchliwy proboszcz ponownie daje inicjatywę. Mimo przyznawania słuszności wywodom, sprawa nie ruszyła z martwego punktu. Gospodarze nie oswoili się jeszcze z myślą zerwania z dotychczasowym systemem prowadzenia gospodarki mlecznej. Nie sprzyjały również okoliczności po temu, a zapewne i porobione próby w tym kierunku, czynione gdzieindziej. Wraz z utworzeniem Komisji Mleczarskiej przy Centralnym Towarzystwie Rolniczym powiał inny prąd; dzięki ześrodkowaniu w rękach wspomnianej Komisji organizacji produkcji mleczarskiej, mleczarnie, wegetujące lub zgola upadłe, poczęły się dzwigać. W roku 1911 inicjatywa przybrała realne formy w zorganizowanej Spółce Mleczarskiej. Za pośrednictwem Tow. Mleczarskiego sprowadzono maszyny, by wreszcie przystąpić do czynu. Czyn ten prezentował się bardzo ubogo na początku. Do spółki przystąpiło za ledwie: oczywiście w pierwszym rzędzie, proboszcz, ks. Bliziński; jeden dwór, (p. Grabski z Dembska z czterdziestu krowami), organista, kościelny i pięciu gospodarzy — razem dziewięciu dostawców. Niewielka obrada. Otwarto mleczarnię dnia 6 kwietnia 1911 roku. Strona organizacyjna przedstawia się tak:

Udziały wynosiły 5 rb od krowy, mogąc być złożonymi w formie deklaracji zdeponowanej w miejscowej Kasie Pożyczkowo-Oszczędnościowej, oczywiście, podpisanej przez członka, finansującej powyższe przedsięwzięcie. Sumę udziału strącano w ciągu dwóch lat przy wypłacie za dostarczone mleko. Aby pokonać nieufność do nowoorganizowanej spółki, inicjator podszedł do rzeczy bardzo praktycznie: oto po miesiącu wypłacono za dostarczoną śmietankę po 1,1 kop. Efekt wywołano odrazu: liczba dostawców wzrosła do piętnastu, by w końcu maja tegoż roku otrzymywać — przy piętnastu dostawcach — czterysta litrów mleka dziennie. W tymże

roku okazuje się potrzeba otwarcia dwóch filii śmietankowych w sąsiednich wsiach. Wybuch wojny poderwał rozwój tej wielce pożytecznej placówki ekonomicznej. Produkcja atoli nie zamarła całkowicie, jedynie została sprowadzona na skutek wytrzebienia inwentarza, oraz innych przyczyn, do mniej niż połowy i wynosiła w roku 1917 45 proc. ostatniego roku przedwojennego. Normalizowanie się warunków wraz z zawarciem pokoju, stawia powoli mleczarnie na nogi i w 1919 roku widzimy już 367 członków z 995 krowami przy przetworzeniu 543,670 litrów mleka, a uzyskaniu 20,692 kg. masła. Dalszy wzrost produkcji w następnych latach postawił na porządku dziennym kwestie odpowiedniego pomieszczenia, bowiem obecne, ani nie odpowiadało jej rozmiarom, ani nie było dostosowane do wymagań nowoczesnej higieny. W czerwcu 1926 roku Zarząd Spółdzielni Mleczarskiej przystąpił do budowy własnego budynku, według planów sporządzonych przez inż. Mokrzyńskiego. Nowy budynek wykończony został w roku 1927 i tegoż roku, po uroczystym poświęceniu, oddany został dnia 14 marca, do użytku. Jest ładnie pomyślany w stylu nadwiślańskim, z obszernymi i dogodnie rozplanowanymi pomieszczeniami do produkcji, zaopatrzone w wodociągi, skanalizowany, z studnią artezyjską tuż, głębokości 115 metrów, z lodownią oraz wszelkimi podyktowanymi wygodą i higieną urządzeniami. Potrzebne aparaty dostarczyła firma Alfa—Laval z Warszawy, siłę pędną otrzymuje się z maszyny parowej firmy „Astra“ z Warszawy o 8 H. P. Parę, zarówno do poruszania maszyn jak i do potrzeb mleczarni, dostarcza kocioł stojący, zbudowany w fabryce Makarewicza w Warszawie. Nowością wogóle dla mleczarni w Polsce jest matecznik do przygotowywania zakwasu. Aparat, w zasadzie prosty w konstrukcji, łatwy w użyciu służy do dobrego przygotowywania zakwasu. Całkowity koszt budynku łącznie z urządzeniem wewnętrznym wyniósł 100,000 zł.

na co Spółdzielnia otrzymała kredyt w Państwowym Banku Rolnym w wysokości zł. 64.000.

Członkowie Spółdzielni mieli ubezpieczone krowy do 1927 r. i otrzymywali za padłą sztukę 50 zł. Obroty mleczarni Spółdzielczej za ostatnie lata wyrażają się w następujących liczbach.

Rok	dost. mleka	wypr. masła	o b r ó t	il. członk.
1926	1,489 943	59.269	310.740	1025
1927	1,303 671	51.163	297.163	1233
1928	1,175.876	46.084	290.384	1333
1929	1,202.036	47.189	284 744	1377
1930	1,456 871	58 276	275 029	1485
1931	1,458.849	58.092	233.392	1657
1932	1,408.522	55.841	187.198	1780
1933	1,484 892	58.224	172.707	1907
1934	1,475.361	55.581	141.901	2034
1935	1,390.167	52.880	143.666	2052
1936	1,811.975	68 650	188.850	2218

Wartość majątku ruchomego według remanentu z dnia 1 stycznia 1937 roku 73797 zł.. Wartość majątku nieruchomego 45.652 zł.

Radę nadzorczą stanowią pp.: Aleksander Chrostowski, ks. prałat Bliźński, Michał Janczarek, Piotr Buczkowski, Józef Bruź, Franciszek Szczepański, Witold Bobrowski, Stefan Waliś i Walenty Felisiak.

Zarząd pp.: Antoni Piątkowski, Antoni Szewczyk, Franciszek Przybyła.

KĄPIELE LUDOWE

W jednym z periodyków literackich w reportażu z Holandii czytałem, że w tym kraju trotuary na ulicach szoruje się mydłem i wodą. Powtarzam na wiarę tę wiadomość, bowiem sam w Holandii do tychczas nie byłem. W każdym bądź razie, nie tylko w Holandii lecz w każdym zachodnim kraju — nie mówiąc o wypieszczonych, doprowadzonych do bajkowej czystości miastach duńskich, szwedzkich, norwer-

skich, — każdy kawałek ziemi koło domu wykorzystany jest w celu dekoracyjnym. Idźmy do dziesięciomorgowego chłopca holenderskiego lub duńskiego, a do naszego; tam oko z prawdziwą przyjemnością ślizga się po estetycznym ogrodzeniu, pnączach obramowujących domek mieszkalny, po lśniącym kamieniem podwórku, gdy u nas — zgroza ogarnia. O kilkadziesiąt metrów bije zaduch gnoju, którego wielka kopca aż drze za włosy swoim wyglądem, aż odpycha i czyni obmierzłym wogóle pobyt na wsi.

Nie wiem, czy dużo mieszkańców wsi weźmie do ręki tę książkę, ale ci, którzy będą ją czytać, niech mi odpowiedzą, z ręką na sercu: czyż naprawdę ten gnój, to niechlujstwo, to zaopuszczenie domu i koło domu — jest potrzebne im do życia? Czy nie pomysleli sobie kiedy, że, u diaska starego, nie czas kwękać, narzekać na Bóg wie co i kogo — a samym nie posunąć się ani krok, ani na włos naprzód? Czy naprawdę potrzebny jest strach przed surową karą, aby zmusić do zaprowadzenia ochędostwa? Przypomnijmy-no sobie jak to na gwałt wypełniano wszelki nakaz żandarma niemieckiego, aby to albo tamto zrobić? I... było zrobione jak amen w pacierzu. Wstyd ogarnia: za to niechlujstwo, za to zaniedbanie, potęgujące wrażenie biedy. Nie darmo mówią mądrzy ludzie: czystość to zdrowie. Tak jest, stokroć tak.

Bo kulturę kraju poznajemy po czystości i... ilości zużytego mydła. Pod tym względem stoimy na jednym z ostanich miejsc w Europie; dla tego też każdy krok zrobiony naprzód, należy powitać z uznaniem, tym bardziej, jeśli ten krok uczyniono w środowisku wiejskim. Uczyniono go dawno, bo w roku 1910, w postaci kąpieeli ludowych. Zbudowano je ze środków pochodzących z różnych źródeł, a w pierwszym rzędzie z zapisu ś. p. Ludwika Górskiego, leżącym do dyspozycji Tow. Hygienicznego w Warszawie, częściowo z zasiłku Tow. Opieki nad Dziećmi, które ofiarowało szczerą ręką 200 rb., a to z tej

przyczyny, iż w Liskowie istniało tak zwane „Gniazdo“, bardzo ongiś pożyteczna instytucja. Centralne Tow. Rol. jak zawsze, tak w tym wypadku, również pośpieszyło z pomocą dając 250 rb, warsztaty tkackie 500 rb, z różnych ofiar drobnych i imprez 330 plus 100 = 430 rb. Razem uciulał ks. Bliziński 2.530 rb. i z tym kapitałem rozpoczął budowę wykończoną i oddaną do użytku, jak się rzekło 1910 roku. Miano trudność z wodą, którą pokonano wywierciwszy studnię artezyjską kosztem ośmuset rb, bowiem studnia zwykła, wykopana nakładem trzystu rubli, nie mogła dostarczyć odpowiedniej ilości wody. Po przeróbkach obecnie kąpiele urządzono na terenie sierocińca św. Wacława w osobnym budynku, urządzonym skromnie lecz higienicznie; są 3 natryski, łaźnia parowa, dezynfektor — jednym słowem to wszystko, co nie stanowi luksusu, ale bezwarunkowo, konieczność każdej wsi.

.

Omawiając w tych kilkudziesięciu słowach kwestie higieny wsi, pozwolę sobie Czytelnikom zadać pytanie proste: dlaczego w obecnych czasach nie grasują okrutne epidemie, cholera, tyfus, dżuma, — te trzy najstraszliwszą kość pośród rodzaju ludzkiego czyniące zarazy? Dlaczego słuchane wśród grobowego milczenia opowieści starców, wstrząsające nami, o pomorach duszących ludzi, zostają obecnie wyłącznie mu opowieściami? Odpowiedzcie mi:

— Nauka posiada środki zaradcze, potrafimy się bronić. Podniosła się higiena. Otóż to, dziś człowiek nie ucieka się do paskudztw wspomnianych przez starego Majdańskiego; dziś człowiek zostaje zmuszony drogą rozporządzeń rządowych do stosowania takich a takich środków zapobiegawczych, i oto grasująca ongiś plaga cholery znika. Dlaczego nie potrafimy sami wykrzesać z siebie skłonności do ochędóstwa, dlaczego musimy wystawiać te wstręt-

ne, odrażające gnojówki z kupami gnoju przed chałupą? Tego porządny gospodarz może uniknąć, powinien i musi uniknąć. To nie żadna kwestia polityczna lub społeczna — to kwestia porządku, dbałości i nic a nic więcej. Każdy brudas powiada: woda zimna; każdy wałkoń kradnący Panu Bogu dzień twierdzi, iż... nie może się ruszać, że niema czasu. Próźniak, niedbaluch, pozwala na robienie pod swoim domem, w którym spędza wiek życia, smrodliwego śmietnika, w którym jego rodzone dziecko baraszkuje razem z psem lub prosięciem. Tak jest!

WARSZTATY ZABAWKARSKIE

Warsztaty zabawkarskie należą do bodaj — żebym nie skłamał — najpierwszych na ziemiach dawnego Królestwa Kongresowego. Zabawkarstwo w Polsce ujęli w swe ręce Niemcy. W surowym stanie wywozili do siebie masy pocziwych polskich sosenek, zrąbanych rękami zaharowanego do siódmego potu, napęczniałego barszczem jałowym z niekraszonymi kartoflami Bartka lub Wojtka, — żeby z nich wyrobić pokracczne, bez gustu wielekroć, tandetne figlasy, spychane milionami na polskim rynku. Później zmieniło się to lecz, niestety, w odniesieniu do innych krajów: Anglii, Francji, Ameryki, ostatnio japońskie wyroby biją rekord z powodu ich taniości.

Otóż zabawkarnia w Liskowie stanowiła wyłom; postanowiono próbować szczęścia. W roku 1910 rozpoczęto robotę, naturalnie, z małym początkiem, by w krótkce rozszerzyć zakres działania i dojść do 200 rb miesięcznego targu, z 400 rb, w pierwszym a 569 rb w drugim roku obrotu. Prowadzi ten dział p. Tomczuk, dwadzieścia pięć lat pozostający na jednej i tej samej placówce, wychowanek szkoły zabawkarskiej w Jaworowie. Obecnie warsztaty zabaw-



<http://rcin.org.pl/it15>
Gmach Żeńskiej Szkoły Zawodowej.

karskie połączone ze szkołą rzemiosł w Sierocińcu przy omawianiu której powrócę do przedmiotu.

WALKA O DUSZĘ POLSKA

Ze ściśniętego gardła wykrztusił rząd carski manifestem po „wysoczajszemu powielenju“¹⁾, (z dnia siedemnastego października 1905 r.), obietnicę reform. Mówiło się o konstytucji, by w niedługim czasie wyprawić krwawe widowisko. Tymczasem korzystano z możliwości zakładania instytucji oświatowych, społecznych i ekonomicznych. Powstała w Kongresówce Polska Macierz Szkolna, z Henrykiem Sienkiewiczem i mecenasem Antonim Osuchowskim na czele, miała za zadanie podniesienie oświaty. Aliści nie długo trwała era „wolności“, powróciła anarchia bezprawia, swawola rozpasanego czynownictwa, bezwzględność zoldactwa²⁾. Konstytucja — wedle dowcipnego określenia redaktora „Muchy“, Buchnera, — „po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach“, opatrzona nahajkami, skonowała na rękach biurokracji“. Rządy objęli wojenni generał— gubernatorzy. Ustanowiono Sądy wojenne: surowe, bezlitosne a zimne i ostre jak topór w rękach kata. Nawrót reakcji szybko uwinął się z reformami, na pierwszy ogień poszła Macierz Szkolna. Zamknięto ją; rząd uważał, że „nie należy nadużywać sztuki czytania“, — jak mawiał stary Plechanow³⁾. Biurokracja rosyjska lubowała się w mrokach, mając naturę nietoperza, mogącego

1) Z najwyższego rozkazu.

2) Do czego dochodziło okrucieństwo, mogą posłużyć przytoczone poniżej dwa fakty: kozacy strzelali do gromad dzieci, bawiących się chorągiewkami o barwach narodowych; gdy raz schwyłali szpicle człowieka zaplątanego pomiędzy uciekającymi domniemanymi zabójcami żandarma, wprowadzono go do bramy, rozkrzyżowano i rozstrzelano na miejscu.

3) Filozof materialistyczny rosyjski emigrant polityczny.

jedynie wśród ciemności żerować. Należało coś zrobić dla ominięcia drakońskiego rozkazu. Radzono sobie, jak kto umiał. Z jednym albowiem nie chciano się pogodzić: powrócić do stanu z przed kilkunastu miesięcy.

Podziemna robota, rozpoczęta przez proboszcza przed kilku latami, propaganda prowadzona już to za pomocą kilkudziesięciu, opłacanych z własnych funduszków, pism ludowych; za pomocą żywego słowa sączonego podczas kolędy, przy opłatku, urządzanym corocznie na plebanii i podczas święconego dla delegatów od wiosek z parafii,— robiły swoje: tajały lody pomiędzy plebanią a co roztropniejszymi gospodarzami; wywierała również swój wpływ na kształtowanie się pojęć chłopów. Gdy zaistniała możliwość otwierania szkół, powstało ich niebawem siedem, rozsypanych po parafii. Serce rosło patrząc na rojowisko dziatwy szkolnej. W tym czasie każdy kto tylko liźnął bodaj trochę kunsztu pisania i czytania, imał się tego ostatniego, wertując literaturę nadsyłaną Bóg wie skąd. Przychodziło to — to naręczami, ukrywane po strzechach, żłobach, pod przyciesiami obor i stajen, w obrokach końskich. Lud łapczywie łykał drukowane słowo krzepiące, rozdmuchujące w nim iskry poczucia wspólnoty narodowej, patriotyzmu. Wdzięczna to była gleba; dziewicza, bogata w złoża najczystszej złota, tylko, niestety, dzięki błędom nie wyzyskana.

Nawet kobiety — te same które z jazgotem przyszły swego czasu swarzyć się na plebanię o chłopskie wieczorynki z proboszczem w sklepie spółkowym, — teraz okazały dużo zainteresowania sprawami. Taka naprzykład Studzińska, przechowywała u siebie sztandar z wizerunkiem Matki Boskiej i Orłem Białym — relikwie całej patriotycznej wsi. Chowiała go tak dobrze, tak dobrze ukrywała literaturę nielegalną, że nigdy, ani razu, policja lub żardarmeria nie mogły

odkryć „groźnych“ przedmiotów. Naciśnięta kiedyś przez policjanta „co ma“, odparła z szyderstwem:

— Co miałam to mom, ale nie dlo pana...

Strażnik splunął, odwrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę, goniony drwinami. Co miał robić? — Bić się z babą?!

Tymczasem do Kalisza przybył późniejszy kat Łodzi, gubernator, Kaznakow—Krwawy.

Z przybyciem tego arcyłotra rozpoczęły się ciężkie dni dla Liskowa. Kaznakow szalał; szalało jego otoczenie, na wyprzodki tropiąc „kramołę“, polską intrygę i jak się to tam w mianownictwie sfory czynowników nazywało. Już i kubany¹⁾ nie pomagały; siaki taki „miałki“²⁾ czynowniczyzna radby brać, lecz strach ogarniał go na wspomnienie posępnego zwierchnika. Ten nie brał: on hojnie rozdawał... ciężkie wyroki administracyjne.

Odrązu zwrócił uwagę na Lisków, darząc go czułą opieką policyjnej psiarni: gdy jednym końcem wsi odjeżdżały wozy z żandarmami z Kalisza, drugim wjeżdżali policjanci z Turku; nierzadko ściągał dragoni lub kosookie, o kałmuckich sprośnych gębach kozactwo. Największa bieda wychodziła ze szkołami. Co z tym fantem robić?... Użyto fortelu: szkoły przedzierzgnęły się w... ochronki. Te wedle prawa, można było trzymać. Nie wiele to pomogło. Wytropiono „intrygę“; przychodzi nakaz: szkółki zamknąć. Wtedy, korzystając iż parafia położona była w dwóch powiatach: część należała do tureckiego, część do kaliskiego, — radzi sobie pomysły proboszcz sprytanie. Gdy przyjedzie „bumaga“³⁾, aby „siejczas“ (natychmiast), szkółki zwinąć, od naczalstwa z Tur-

1) łapówki.

2) drobny urzędnik.

3) pismo urzędowe.

ku — szkółki, oczywiście, „siejczas“ ...wędrują do części parafii położonej w powiecie kaliskim, z dziećmi i nauczycielami. Gdy strażnicy wywęszyli szkółki w części kaliskiej, przychodzi w te tropy nakaz, — znowu „siejczas“ — z kaliskiego powiatu, — zamknięcia szkółek. Tedy one wraz z nauczycielami pielgrzymują do powiatu tureckiego. Istna zabawa w chowanego. Trwał ten kontredans dość długo, póki panowie naczelnicy nie uzgodnili „taktyki“. Wzięto się na inny sposób. Wkroczył prokurator. Zasiadł tedy na ławie oskarżonych ks. Bliziński za zbrodnię przeciwko duchowi carskiej ustawy: nielegalnego nauczania. Strach pomyśleć! Rebelia... Jej Bogu, bunt! Kilkaset dzieci uczy się czytać i pisać, a temu winien oto ten zbrodzień, siedzący na ławie oskarżonych. Przeklęty „łacinnik“! Może ciemne siły spiknęły się razem i pod pozorem szkółek tworzą wojsko polskie?! Może te dzieci to takie, zaklęciem łacinnika przemienione, wojsko świętej Jadwigi, czy czort ryży wie; mówią przecież o nim.

Żart na stronę, sprawa w tamtych czasach nie należała do błahych. Zawdzięczając poczuciu sprawiedliwości ówczesnego prezesa sądu okręgowego, Naumowa, wyrok wydał łagodny: trzy ruble „sztrafu“¹⁾. Naumow mówił po sprawie do mecenasa Radwana:

— Pierwszy raz muszę się wstydzić za mój wyrok; skazałem księdza za szerzenie oświaty, gdy za to słusznie mu się nagroda należy. Skazać musiałem, bo w razie odwołania się prokuratora do wyższej instancji mogliby, wobec litery prawa, zastosować wyższą karę.

Miał rację. Potajemne nauczanie w tych latach uważane było za akt buntu i groziło poważnymi represjami. Plehwe, głowa sądu wojennego w Warsza-

¹⁾ kary, grzywny.

wie, w sprawie nauczycielki, Filipiny Płaskowickiej, oświadczył: — Nikt z badanych nie potrafił powiedzieć nam o pani nic złego; lud nazywa cię świętą — wszystko najlepszym dowodem, jak dalece jest pani dla nas niebezpieczną.

Większe zato bez porównania spadło zmartwienie w związku z wprowadzeniem języka polskiego w urządzie gminnym i w szkole.

Na jednym z zebrań gminnych podniesiono uchwałę, aby wprowadzić język polski jako obowiązujący w urzędowaniu; powzięto również szereg postanowień skierowanych wyraźnie przeciwko władzom rządowym. Naskutek tych uchwał, niejaki Krycha, miejscowy gospodarz, wspólnie z innymi zażądali od nauczyciela nauczania w szkole gminnej — w języku polskim. Ucho u dzbana urwało się; wkroczył Kaznakow ze swoim aparatem represji. Przede wszystkim posypały się rewizje i aresztowania: wywieziono do Kalisza nauczyciela Lipińskiego, organistę Głębińskiego, gospodarzy: braci Krychów i Janiaka — jako inspiratorów wspomnianej uchwały; na gminę nałożono trzy tysiące rubli kontrybucji, zdjętej później. Wszelako podejrzewano — słusznie prawdę powiedziawszy — że głównym sprawcą „buntu“, lubo pozostającym na uboczu, jest proboszcz liskowski, ks. Bliziński. Policja z żandarmerią była już teraz prawie że codziennym gościem we wsi, w okolicy, bobrując w nocy i w dzień po schowkach, po chałupach, w poszukiwaniu nielegalnych pism. Pewnego razu wspomniana Studzińska, widząc zbyt natarczywie obzierających największe zakamarki żandarmów, z trudem przedarła się z ukrytym w wiązce siana sztandarem w pole, by go tam zakopać. Niepozorna, ze śladami ospy na twarzy, miała wszakże roztropność, a nadewszystko przywiązanie do sprawy. Prostacza dusza, cicha, nieznaną kobietą wiejską, może podświadomie spieszyła z pomocą idei. Niech tych kilka słów wspomnień starczy jej, dziś

na tamtym już świecie, za nagrodę, za piękne zalety duszy.

Pewnego poranku huknęło po wsi: proboszcza mają zabrać! Nowina niby złowrózby ptak piorunem obleciała chaty. Tego było za wiele. Uderzono w czułą strunę ludu. Bo trzeba wiedzieć, że nasz chłop ówczesny mógł koty z proboszczem drzeć, mógł nań patrzeć złym okiem, ba, wygarnąć na odlew, gdy mu co na wątpiach leżało — lecz zabieranie księdza przez policję znaczyło tyle, co uderzyć go pod serce. Niektórzy śmielszej natury, odgrażali się, że księdza nie pozwolą zabrać. I dziw nad dziwy: ci sami ludzie, którzy nie tak dawno boczyli się na niego, odmawiali udziału w wieczernych wigilijnych, niechętni — stanęli murem w obronie ks. Blizińskiego. Po wsiach okolicznych poszedł pomruk:

— Ludzie, rychtujta się! Żandarmy mają zjechać po proboszcza! Nie dać go! Nie dać, nie dać, nie dać! — biegł cichy pogłos. Zbierało się w Liskowie na burzę...

* * *

Chyłkiem, pod osłoną nocy, wilczym zwyczajem, uprzętały carskie władze swoich wrogów. Wykradano ich po złodziejsku, uwożąc nocą dla uniknięcia rozruchu. Tak chciano zrobić i z księdzem Blizińskim. Przeliczyli się. Wierni czuwali, czuwały również, o dziwo, wiejskie kobiety, te same, które nie tak dawno groziły księdzu biskupem z powodu „przetrzymywania“ mężów na pogawędkach. Krzątanina, nie uchwytna oku ludzkiemu, zapanowała we wsi.

Aż z piętnastego na szesnasty sierpnia, na polach buchnął na uspione sadyby ludzkie krwawy słup ognia. Palił się stóg zawczasu w tym celu przygotowany. Ciszę letniej, rozdyszanej oparami mgieł nocy, rozdarł krzyk:

—Gore, gore! Ludzie wstajejta na ratunek! żandary proboszcza zabierają!

Tupot bosych nóg, urwane słowa, wykrzykniki

rzucane w pędzie przez rozdygotanych w sobie ludzi, napełniły wieś, kołysaną dotychczas jeno tymi poszumami drzew odmawiających swoje pacierze wieczorne, jeno tym świerszczy graniem.

Na przełaj, poprzez pola sadzili napół przyodziani, zbrojni w co kto miał pod ręką: kozicę to kozicę, pałę do tłuczenia świniom żarcia — to pałę, widły — widły. Kobiety wysforowały się naprzód z gębami. Rzeczywiście: na plebanii byli żandarmi. Zjechali akurat w złodziejską godzinę, kiedy zmęczony lud śpi snem sprawiedliwego, bo o 11 w nocy. Z tłumu padały coraz mocniejsze okrzyki. Zapalczywi, groźnie otaczali plebanie, gotowi do rachowania żeber nieproszonych gości.

— Psiekrwie! kiej te złodziejaszki po nocach się włóczą!

— Giry poprzetrącać!

— Łby poucinać i do gnoju ciepnąć!

Psubraty, bisurmany jedne! Złodziei pilnujta, nie księżyl! Jak te hycle psów, łapią ludzi! Niedawno nauczyciela i organistę, tera księdza im się zachciało.

— Złodziei, psiekrwie, nie widzą!

— Jak mają widzieć, kiej same są złodziejami. Chlają ś nimi po szynkach i tyła!

— My tu sąd wyprawim, wyrok sobakom na plecach wypiszema, co by z próżnymi rękami do „urzędu“ nie pojechały!

Kobiety rwały się do tłustych, zapijaczonych żandarmskich pysków. Wrzało; temperatura podnosiła się z minuty na minutę. Lada iskra, mogła wybuchnąć awantura, nieobliczalna w skutkach. Ks. Bliziński tamował przyływ energii, aż w końcu udobruchał ludzi; uspokoił się rozogniony tłum. Żandarmi odjechali — sami. Uciekli formalnie. Strach popędzał do miasta, bo nikt im nie mógł zaręczyć, czy jaka zawzięta dusza, utajona w haszczach przydrożnych, nie pomści nocnego najazdu.

Kaznakow po zdaniu mu raportu o zajściu zawrzał. Zatrzęsła się w nim carosławna dusza.

Nazajutrz konny posłaniec gnał w skok do Liskowa z „papierem“ do proboszcza.

Ów przyjął „bumagę“, obiecał dać odpowiedź na drugi dzień, tłumacząc się galówką; jednakże nie można było zwlekać. Należało coś zaradzić, coś począć dla odwrócenia represji, które jak Bóg na niebie dosięgłyby ludność. Niezwłocznie też ks. Błaziński udał się do Kalisza, do swego przyjaciela, adwokata Radwana z relacją i dla naradzenia się nad środkami zapobiegawczymi. Pisze o tym mecenas w swym wstępie do książki p. Chmielińskiej:

„...gdy o całym zajściu opowiedział mi zacny kapłan, byłem prawie bezradny, krwawy Kaznakow był to człowiek bez serca i nienawidził Polaków. Miałem jednakże znajomego urzędnika w kancelarii gubernatora, Szczepańskiego, jedynego Polaka, który tam pracował, był szczerze oddany i w najdrażliwszych sprawach pomagał. Posłałem po niego i urządziliśmy naradę. Stało na tym, że ks. Błaziński musi na pewien czas zniknąć z Liskowa i ówczesnej gubernii kaliskiej, ponieważ w najbliższym czasie Kaznakow ma opuścić Kalisz. Tak się też stało. Proboszcza, ku wielkiemu zdziwieniu władz, w Liskowie nie znaleziono. Nazwisk winnych nie można było sprawdzić; skończyło się na tym, że kilku liskowiaków skazano na kary pieniężne i areszt i w ten sposób cała sprawa została zlikwidowana“.

Ksiądz Błaziński salwował nie tyle siebie, ile parafian zejściem z oczu groźnego władyki. W parę tygodni Kaznakowa przeniesiono do Łodzi¹⁾. Tam zapisał się krwawo.

*

*

*

¹⁾ Był tak brutalnym, iż najpoważniejszych przemysłowców przyjmował stojąc, z harapem w rękę, a jednego z nich za propozycję „zabawienia się“ kazał zwyczajnie zrzucić ze schodów.



<http://rcin.org.pl/ifis>
Budynek rozrywkowo-sportowy z salą na 900 osób.

<http://rcin.org.pl/ifis>

W wspaniałym pałacu w Kaliszu, wzniesionym sumptem biskupa kujawskiego późniejszego prymasa, Karnkowskiego, zasiadł jako gubernialny carzyk, Nowosilcow. Typ może mniejszego brutala, niemniejszego polakożercy; gnębił po swojemu. Za niego rozegrała się batalia o Dom Ludowy, opowiedziana w jednym z poprzednich rozdziałów, batalia, z której ks. Bliziński wyszedł obronną ręką. Nie na długo.

Praca zdążająca coraz szerszym korytem w kierunku uświadomienia ludu, coraz liczniejsze organizacje o charakterze niby społecznym, niby ekonomicznym lub zgoła dewocyjnym — służyły do pogłębiania wśród chłopów polskiego świadomości narodowej. Po parafii krążyły nieustannie pisma i broszury nielegalne, budzące ducha. Władze deptały po piętach proboszczowi, wynajdując różne sposoby pozbycia się niewygodnego człowieka, niepoprawnego „kramolnika“.

Rządy w powiecie tureckim sprawował naczelnik powiatu, Zawaliewskij, zapewne Polak-renegat, orientując się według nazwiska. Ten umyślił skończyć raz na zawsze z Liskowem, ściślej mówiąc, z proboszczem. Dotychczasowe starania o utracenie ks. Blizińskiego z probostwa nie dawały wyniku. Pisma wysyłane do Kurii Biskupiej pozostawały bez przychylnego załatwienia. Wiedzano tam dobrze co skłania władze rosyjskie do wystąpień i starannie wynajdywano argumenty w odpowiedzi, byle zbyć natarczywość napierającego czynownictwa. Zawaliewskij wziął na siebie „słodki“ trud dopięcia celu: usunięcia znieawidzonego księdza. Przygotował się do akcji starannie. Wiadomymi sobie sposobami zebrał dane, mające służyć do pogrążenia ks. Blizińskiego na zawsze, upstrzył to wszystko motywami i przedłożył gubernatorowi, wspomnianemu Nowosilcowowi w formie memoriału. Według pana Zawaliewskiego w Liskowie zawsze panował ład, sielski spokój; gmina była „primiernaja“ (wzorowa), i dopiero

z objęciem przez tegoż ks. Blizińskiego parafii, zaczęły się dziać rzeczy, od których dusza pananaczelnikowa aż płacze z bólu i oburzenia, że „...te jego organizacje, niby ekonomiczne, a właściwie polityczne i antyrosyjskie, powodują przeróżne skargi i donosy“, nie dające jemu, Zawaliewskiemu, spokoju?! Że: „wskutek tego cała gmina jest zbuntowana“; dlatego zwraca się „z najpokorniejszą prośbą o zwrócenie uwagi na niebezpiecznego księdza i usunięcie go z granic Królestwa Polskiego, w ostateczności (ach jakie skromne wymagania!), z granic gubernii kaliskiej“. Tylko. Mój Boże! tak ma!utko! Przydałaby się Syberia: i dalej i bezpieczniej. Pan Zawaliewskij wolałby zapewne tam, lecz cóż, narazie zadawał się mniejszym. A że wyższa „właśc“ wspaniałomyślnie przyłożyła by coś, nicby przeciwko temu nie miał. Owszem, owszem...

Nowosilcow, jakżeby, ohotnie poparł „propozycje“ i od siebie dodał uzasadnienie w przedłożeniu do kancelarii wielkorządcy warszawskiego, generał-gubernatora Skałona. I doprawdy cud sprawił, że „tajemnica kancelarii gubernatorskiej“ przedarła się do wiadomości mecenasa Radwana. Było to w ten sposób.

Lekarzem przybocznym Nowosilcowa był dr. Olgerbrandt, dobry znajomy a nawet bez mała przyjaciel wspomnianego adwokata. Pewnego razu wzywają go do gubernatorskiego pałacu, bo „syn jego ekscelencji czuł się niezdrów“. Poszedł. Zastał gubernatora w gabinecie, załatwiającego urzędowe sprawy; traf chciał, że znalazł się sam w gabinecie i tam zauważył przygotowany do podpisu papier, z wnioskiem do Skałona, o wysiedlenie ks. Blizińskiego według życzenia Zawaliewskiego. Jaką ostrożność zastosowano przygotowując ów referat, może posłużyć fakt, wyszły na wierzch później, iż przepisywano go na maszynie w nocy. Wszystko w nocy.

Charakterystyczny objaw, to nocne operowanie, przypominające żywo żerowisko nietoperzy.

Dr. Orgelbrandt tegoż jeszcze dnia zwierzył się przed mecenasem Radwanem z tajemnicy, ten, widząc że nie ma chwili do stracenia, niezwłocznie pojechał do Warszawy dla poczynienia starań w odpowiednich sferach i u odpowiednich osób, celem niedopuszczenia zrealizowania niecnych zamiarów.

Za nim, powiadomiony z zachowaniem najściślej tajemnicy udał się ks. Bliziński. P. Radwan zwrócił się do dr. Polacka, zatrudnionego w kancelarii Skałona z prośbą o poradę względnie pomoc. Odpowiedziano mu iż to niemożliwe z powodu i tak czujnej obserwacji tegoż dr. Polacka, wskazał natomiast osobistość ze świata prawniczego, znającą kulisy generalgubernatorskiej kancelarii, która mogła w tej sprawie dopomóc. Tak się też stało. Wynaleziono urzędnika, gotowego memoriał wraz z opinią Nowosilcowa „utopić“, to jest schować w jaką kancelaryjną dziurę, by nie doszedł do rąk Skałona. Miało to kosztować pięćdziesiąt rubli, boć wiadomo: ruski urzędnik lubił bakczysz i palcem nie kiwnął bez posmarowania. Mniejsza z tym, dość, iż podjął się i wykonał: papier legł sobie wygodnie w 'zakamarkach aktów.

Delikatnej misji wstrzymania wysyłki potwierdzenia z urzędu gubernialnego kaliskiego podjął się pocziwiec, znany nam już Szczepański, zrobił to sumiennie: mole kancelarii generalgubernatorskiej trawiły memoriał Zawaliewskiego, póki, na krótko przed wojną, bo w roku 1914 nie wyhynał na światło dzienne. Lecz nie był już wtenczas groźnym: po Nowosilcowie śladu nie zostało, a nowy gubernator, Rafalski, pozował na liberalniejszego człowieka. A może miał tylko więcej oleju w głowie...

Wówczas też departament rolnictwa odznaczył ks. Blizińskiego medalem za pracę nad podniesieniem wsi, wobec czego układał się całkiem od-

mienny stosunek miejscowych władz do jego osoby. Gubernator, owszem, po zwiedzeniu Liskowa wyrażał podziw, dawał zachętę do dalszej pracy; na pożegnaniu dodając, że gdy który z urzędników będzie czynił wstręty, niech ks. Bliziński się do niego bezpośrednio zwróci, a on, Rafalski, gubernator kaliski, porachuje się z nim.

Względy panagubernatorskie okazały się zbyteczne: w sześć tygodni od wizyty i pan gubernator i jego urzędnicy płynęli na wschód ku rodzinnym swoim pieleszom.

Uciekający urzędnicy rzucali pod adresem Liskowa i ks. Blizińskiego groźby, obiecując sobie załatwić porachunki ze wsią, parafią i proboszczem. Niejaki Fedotiew, chępliwie wołał:

— No, jak powrócimy, to nasz rząd Lisków spali, a waszego proboszcza każe przed kościołem powiesić.

Złym był prorokiem: „ich“ rząd nie powrócił, Liskowa nie spalił, proboszcza nie powiesił, a on sam, zaraziwszy się w Warszawie tyfusem, w jednym z tamecznych szpitali oddał diabłu mściwego ducha.

Lisków wchodził w nowy, trudny okres swej pracy, trwający cztery bite lata.

OKRES WIELKIEJ WOJNY

Wojna zatrzęsła grzywą pożarów, zażęgła w duszach ludzkich nienawiść, zbudziła biesa w człowieku o duszy rozumnej i nieśmiertelnej; zawinęła skrzydłem i o Lisków, lubo oddalony od szlaków wojennych. Ciężkie te chwile opisuje mecenas Radwan w książce „Wieś Polska Lisków“:

„Pomimo że w końcu lipca 1914 roku w Kaliszu głośno mówiono o mającej nastąpić wojnie pomiędzy Rosją a Niemcami, do Liskowa dochodziły o tym mętne wieści i zbytniej im nie dawano wiary.

To też wiadomość o ucieczce Rosjan z Kalisza spadła na Lisków zupełnie nieoczekiwanie i wybuch wojny dnia 1 sierpnia zastał ks. Blizińskiego nieprzygotowanym.

Ani ks. proboszcz osobiście, ani Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa, nie miała dostatecznej ilości gotówki nie tylko na liczne zapotrzebowanie właścicieli wkładów, którzy chcieli się zabezpieczyć na przyszłość, lecz i na pierwsze potrzeby, jak pensje nauczycieli w Szkole Rolniczej, personelu w warsztatach tkackich, szkole zabawkarskiej, mleczarni i t. d. Tymczasem wypadki szły z błyskawiczną szybkością; pogrom i pożar Kalisza, rozstrzeliwanie mieszkańców tego miasta wywoływały coraz większą panikę wśród liskowiaków i ściągały coraz liczniejsze rzesze uciekinierów do Liskowa, którym nietylko strawy lecz i dachu nie można było udzielić. Książd

Bliziński jednakże w tej ciężkiej chwili nie tracił energii. Umiał jakie sto pięćdziesiąt rodzin uciekinierów, jak ich wtedy nazywano, przygarnąć, pomieszczał ich po gospodarzach, którym obiecał zwrócić wydatki na utrzymanie, jak tylko banki w Kaliszu otworzą. Jednakże tak długo trwać nie mogło. Udaje się on, narażając swe życie, w połowie sierpnia do Kalisza, aby z banków wydobyć pieniądze, wraca jednakże bez żadnego skutku, gdyż jednych dyrektorów wywieziono do Poznania jako zakładników, inni wyjechali i przepadli bez wieści. Na pieniądze zresztą, ze spalonego Kalisza wiele liczyć nie było można, gdyż, jak mu mówiono w Kaliszu, banki porozdawały co mogły przed wybuchem wojny i w kasach mają zupełnie pustki.

Ponieważ jednakże ruch osiedleńczy w Liskowie coraz się zwiększał, brak zaś gotówki coraz więcej się dawał uczuć i wywoływał słusznie nieraz sarkania na Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową, na której czele stał ks. Bliziński, w końcu września ułożył sobie już zupełnie fantastyczny projekt przedarcia się przez dwie linie bojowe: niemiecką i rosyjską i udania się po fundusze do Warszawy do Centralnego Tow. Rolniczego na pensje dla nauczycieli szkoły rolniczej i do Centr. Kom. Obyw. po fundusze na utrzymanie stu kilkudziesięciu rodzin uciekinierów z Kalisza.

Droga do Warszawy udała się pomyślnie. Z Liskowa do rzeki Warty ks. proboszcz nie spotkał nikogo, nocą przeprowił się przez rzekę Wartę i, bocznymi drogami, mijając linię obronną Niemców, przedostał się do Łodzi, skąd już koleją dojechał do Warszawy.

Było to w ostatnich dniach września 1914 roku. Jak dziś pamiętam, leżałem chory w Warszawie. Otwierają się drzwi i wchodzi do pokoju ks. Bliziński, którego przed dwoma miesiącami zostawiłem w Liskowie. Ogarnęło mnie podwójne uczucie: ra-

dości i strasznego niepokoju: radości, że na krzyżowej drodze tulaczki spotkałem tego mego przyjaciela przy zdrowiu i życiu, niepokoju, że barbarzyńcy niemieccy po Kaliszu zburzyli Lisków, zniszczyli owoce pracy piętnastoletniej ks. Blizińskiego i zmusili go do szukania schronienia na szerokim świecie.

Parę słów serdecznego przywitania i kilka wyjaśnień ze strony proboszcza rozwiały me powątpiewania: Lisków stoi jak stał, Niemcy byli w Liskowie szukając broni, lecz nic nie znalazłszy, odjechali, proboszcz kochany w przeddzień przyjechał do Warszawy po pieniądze, które dostał z C. T. K. i C. K. O. i z 7.000 rubli jedzie z powrotem do domu.

— Ależ to niemożliwe! — powiadam — przecież dziś — jutro Niemcy wejdą do Łodzi.

— Wiem o tym — słyszę odpowiedź — dziś w nocy odchodzi ostatni pociąg do Łodzi, który mnie dowiezie, a dalej — jak Pan Bóg pozwoli...

Parę słów pożegnania — może na zawsze, serdeczny uścisk dłoni i świetlana postać kapłana — obywatela opuszcza mój pokój i jedzie z powrotem, aby przedrzeć się przez linię bojową i zawieść ludziom słowa pociechy i zapewnienie przetrzymania ciężkiej zimy.

Do Łodzi ks. Bliziński dojechał szczęśliwie. W Łodzi znalazł furmankę, która dowiozła go do Lutomerska, gdzie po palącym się moście na Nerze przedostał się na drugą stronę i następnie do Zadzimia w pow. Sieradzkim. Z Zadzimia odesłano go nad rzekę Wartę do przewozu, który został przez Niemców zatopiony. Uproszony przez księdza przewoźnik, podczas ulewnego deszczu, nocą, pod kulami żołnierzy niemieckich, przewiózł kapłana dążącego do swych parafian, na drugą stronę rzeki, skąd piechotą, przemoczony do nitki, dostał się do Zakrzewa. Z Zakrzewa odesłano go nazajutrz do Liskowa, gdzie odprawił sumę i zakomunikował

wszystkim o nastrojach warszawskich i o szczęśliwym przywiezieniu pieniędzy.

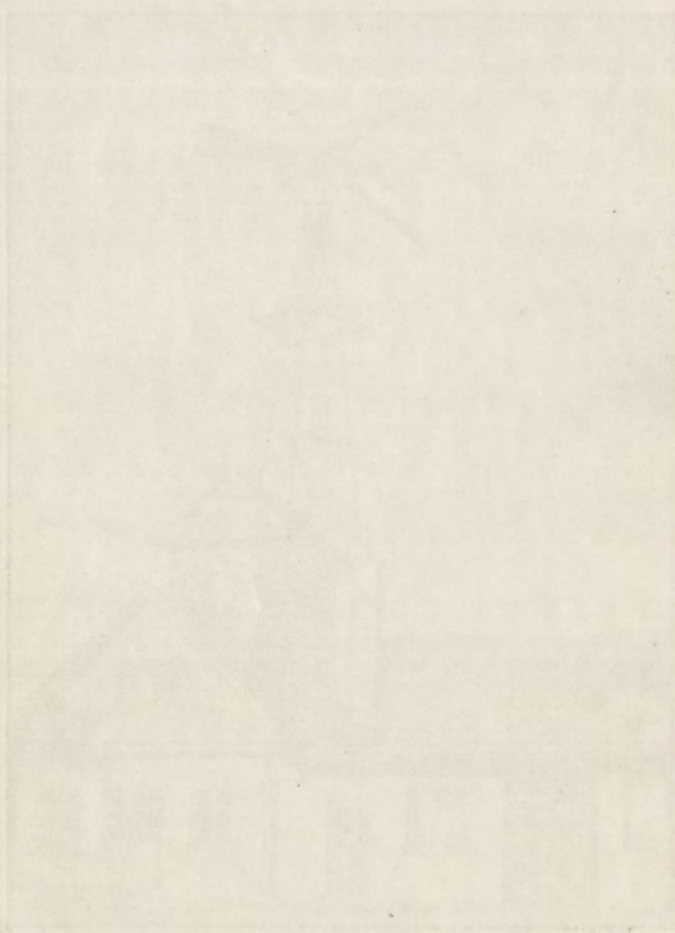
Odparcie Niemców z pod Warszawy i zbliżanie się Rosjan do Kalisza nie wywarło zbyt wielkiego wpływu na życie Liskowa, jednakże stan niepewności pobudził ciemne elementy, których nie brakło po wypuszczeniu aresztantów z Kaliskiego więzienia, do wzmożonej akcji przestępczej. Od ucieczki Rosjan władza administracyjna spoczywała w rękach pisarza gminnego i ograniczała się do pobierania poborów na pensje, policja nie egzystowała, sądy były zamknięte. Ks. Bliziński, na posiedzeniu parafialnym w końcu października, zaproponował zorganizowanie sądów obywatelskich dla spraw tak cywilnych jak i karnych. Po przyjęciu projektu, organizacje sądów natychmiast wprowadzono w życie. Ustanowiono trzy sądy: w Liskowie, Strzałkowie, Zakrzynie. Przewodniczącym wszystkich sądów był wikary miejscowy, członkami dwaj gospodarze. Kompetencja, co do spraw, była nieograniczona. W sprawach karnych przewidzianą była nawet kara śmierci za zabójstwo, rabunki, morderstwa i t. d. Ks. Bliziński, jako najwyższa władza w parafii, zatwiedzał wyroki i miał prawo łaski.

Sądy liskowskie funkcjonowały do marca 1915 roku, i tu muszę podkreślić, że wszystkie wyroki wydane przez te samorzutne instytucje sądowe zostały następnie zatwierdzone przez Sąd Pokoju w Kawenczynie, otwarty w roku 1915-ym przez władze niemieckie.

W roku 1915-ym, w tydzień po wzięciu Warszawy, do Liskowa zjechał z Kalisza po raz pierwszy w imieniu władz niemieckich dr. Rudolf Heinze, przedstawiciel władz okupacyjnych w Polsce, gdy mu ks. Bliziński pokazał książkę pamiątkową, w której przed rokiem podpisał się gubernator rosyjski, Rafalski, butny niemiec powiedział:



Warsztaty Mechaniczne Szkoły Rzemieśniczo-Przemysłowej.



— Polacy winni być wdzięczni Niemcom, że wypędzili ich ciemiężców i z tego powodu winni okazać swą radość.

Na to ks. Bliziński:

— Że Rosjan już nie ma i że uciekli, to cieszy nas niezmiernie, lecz radować będziemy się dopiero wtedy, jak za parę lat będziemy mieli Polskę niepodległą.

Niemiec odwrócił się tyłem, bez pożegnania odjechał i już odtąd oprócz szpiegów i żandarmów niemieckich „dygnitarzy“ nie widziano.

Przez cały czas wojny Lisków, aczkolwiek bezpośrednio nic od działań wojennych nie ucierpiał, jednakże instytucje jego znalazły się w ciężkich warunkach. Sto kilkadziesiąt rodzin utrzymywane były przez siedem miesięcy w Liskowie; przemysł ludowy, przez spalenie i rozgrabienie sklepu liskowskiego w Kaliszu, poniósł niepowetowane straty. Fundusze, przywiezione z Warszawy, wyczerpały się prawie doszczętnie, warsztaty ograbiły wojska przechodzące przez Lisków. Jedynie praca kulturalno-oświatowa rozwijała się bez przeszkód i dawała coraz większe rezultaty. W latach wojny wybudowany został piękny gmach gimnazjalny, oraz budynek piętrowy, w którym znalazły pomieszczenie: poczta, gospoda, przytułek dla starców i mieszkanie pracowników. Gmach ten postawili wygnańcy z Kalisza, rzemieślnicy, wzamian za utrzymanie rodzin i wynagrodzenie pieniężne.

Jak widać z książki pamiątkowej Liskowa przed wojną i po wojnie, Lisków zwiedzały i zwiedzają stale liczne wycieczki z całej Polski. Podczas wojny wskutek obostrzeń paszportowych ruch wycieczkowy zmniejszył się znacznie, praca jednak szła w dalszym ciągu.

W roku 1916 w dniu 5 listopada Niemcy ogłosili słynną niepodległość Polski. Niektóre miasta urządziły z tego powodu obchody. Wieść ta nie wy-

warła w Liskowie żadnego wrażenia tym więcej, że wtedy był jednym z ognisk P. O. W. i nie tylko wierzył w prawdziwą niepodległość, lecz o nią walczył, ćwicząc i przygotowując przyszłych żołnierzy do obrony Ojczyzny.

W kilka tygodni po owym fakcie, rozeszła się po Polsce wiadomość, że niejaki Aleksander Zawadzki, filar ruchu narodowego z roku 1905-go, organizuje w Warszawie wielki zjazd Narodowego Związku Chłopskiego z obydwuch zaborów. Na zjazd ten dostał zaproszenie również ks. Bliziński. Okazało się, że zjechało do Warszawy kilka tysięcy włościan i księży, którzy otrzymali nie tylko przepustki z obydwuch okupacji, ale wolne bilety jazdy i bezpłatne lokale. Wybitni działacze ludowi, jak ks. Bliziński i ks. Starkiewicz, oraz gospodarze Maj i Wróbel od razu zrozumieli, że w tym jest coś złego i że Zawadzki w danym wypadku, porozumiewał się z władzami niemieckimi. Zawadzki więc przywiózł z sobą Gorczyckiego, który miał przewodniczyć, jednakże, na ogólne żądanie, przewodniczącym wybrano ks. Blizińskiego, który nie dopuścił do głosowania nad proponowanym przez Zawadzkiego poborem do wojska niemieckiego i wiecowników, zamiast do Beselera na Zamek, jak to było w programie, zaprowadził do kościoła św. Krzyża, gdzie, po odśpiewaniu „Boże coś Polskę“, wiecownicy, ku oburzeniu Niemców, rozjechali się do domów. Przebieg wiecu opisał ze wszystkimi szczegółami dodatek do „Polaka“, (tajnego wówczas pisma; w listopadzie 1916 roku. Wtedy, mimowolnie, ks. Bliziński wciągnięty został w wir życia politycznego, tworząc z przywódcami szczerze lud miłującymi nowe stronnictwo: Narodowe Zjed. Ludowe, które jako centrum wielkie oddało usługi Ojczyźnie podczas Sejmu Ustawodawczego.

Przez szereg lat ks. Bliziński stał na czele N. Z. L. i wysoko dźmierzył sztandar tego stronnictwa, narażając się nieraz na kalumnie i oszczerstwa, któ-

re przyjmował z chrześcijańską pokorą. Mawiał on zawsze:

— Niech na mnie gadają, co chcą, aby tylko mych instytucji liskowskich i Sierocińca nie dotykali.

Jednakże i te pragnienia zacnego kapłana nie zawsze się ziszczały. W roku 1918, pierwszy minister Pracy i Opieki Społecznej, Staniszewski, mianował ks. Blizińskiego szefem departamentu Opieki Społecznej. Wskutek tych nowych zajęć proboszcz liskowski musiał przenieść się na stałe do Warszawy i tylko mógł dojeżdżać do Liskowa, co pewien okres czasu.

Z końcem okupacji niemieckiej, w czerwcu 1918 roku, w Liskowie odbył się wielki Zjazd Ludowy w połączeniu z poświęceniem pomnika Kościuszki, który stoi przed Domem Ludowym. Po poświęceniu pomnika odbyła się zabawa ludowa, podczas której „sokoli miejscowi popisywali się ćwiczeniami z lancami, do których były przytwierdzone biało-czerwone chorągiewki. Ćwiczenia, te zebrani serdecznie oklaskiwali. Na trzeci dzień po tym, gdy księdza Blizińskiego nie było już w Liskowie, zjechali żandarmi niemieccy, aby go aresztować; a gdy go nie zastano, zabrano do Kalisza zastępcę jego ks. Zwierza, dyrektora szkoły rolniczej i nauczyciela Orłowskiego. Zabrano również podejrzane chorągiewki. Aresztowanych trzymano w więzieniu przez dwa tygodnie, poczem zostali na skutek starań ks. Blizińskiego w Warszawie uwolnieni. Na całą gminę, ówczesny naczelnik powiatu Hahn, nałożył wysoką kontrybucję. Chorągiewki, schowane w kancelarii niemieckiego naczelnika powiatu, znaleźliśmy dnia 11 listopada 1918 roku po wygędzeniu Niemców z Kalisza“.

Tak brzmi opowieść mecenasa Radwana.

OKRES II-GI

ZA LINIĄ OKOPÓW

1911 25 1/2

WOLCZKO J. 1871-1872

ZA LINIĄ OKOPÓW

Wojna wojną, a życie życiem. Na froncie huczały działa, lała się krew, ludzie padali „jako сноpy“ a za frontem nieprzemierzona chęć istnienia pchała ich do codziennych obowiązków. Wieś polska nie opuszczała rąk ani stawała bezradnie: co porwały granaty, ona odmierzała rękami pozostałych w długie, równe skiby; spełniała swój obowiązek bytu. Świetny pisarz, Wł. Stanisław Reymont najdosadniej maluje heroizm wsi w tomie nowel „Za frontem“, kiedy chłop wychodzi na pole, by pod gradem kul uprawiać zagon.

Chuda szkapina, chłopiec niedorostek, chichot szrapneli pękających nad głowami, a on spokojny, z fatalistycznym uporem odprawiający swój odwieczny obrzęd koło ziemi rodzicielki, Ziemi—Matki.

— Tatulu, strzylają! — woła zastraszonego chłopczyka, widząc pękające w powietrzu czerwone ptaki.

Na to stary:

— ...niech se strzylają! Popędź jeno żróbkę!

I orze dalej. Robi swoje, gnany przez dziedziczny przymus istoty związanej z ziemią, od urodzenia, aż póki mu piasku na oczy nie nasypią.

.....

Rychło Lisków otrząsnął się z pierwszych przynębiających wrażeń. Odsunięty front bojowy sprzy-

jał po temu. Wojna tłukła się po szerokich polach, rozbiła w gruzy setki i tysiące sadyb ludzkich, topiła w morzu krwi sławne potęgi carów i cesarzy — a w Liskowie rzeczy poczynają iść zwykłym trybem codziennej orki ugoru. Już-cież nie pozostały bez śladu pierwsze wybuchy szaleństwa wojennego, wyrzucone z własnych siedzib rozbitki gnieździły się w Liskowie, gdzie im niesiono pomoc według posiadanych zasobów.

I tak: piekarnia, mająca własną siedzibę do sprzedaży pieczywa, zorganizowała przy niej gospodę, gdzie za groszę dawano gorący posiłek i nocleg w ciepłe, w ochędóstwie. W ciągu zimy z 1914 na 1915 rok filia wydała darmo 420 gorących posiłków po 2 kop., a 804 bezpłatnie. Słusznie też ks. Bliziński mówi w jednym ze wspomnień: „Ileż to nieraz słyssało się błogosławieństw z ust zziębniętych, bezdomnych biedaków“!

Już w następnym, 1915 roku, od wybuchu wojny zostaje uruchomiona Szkoła Rolnicza, dzięki obywatelskiemu stanowisku p. Ludomira Puławskiego z Grzymiszewa; kierownictwo jej obejmuje p. Cetnerski, wykładają pp. Czanbowski i p. Suchorska. Prowadzono kurs roczny przy 44 uczniach. Od tej chwili szkoła prowadzi nieprzerwanie swoją pracę, prawda, z mniejszą frekwencją uczniów. Dźwiga się i sklep spółdzielczy, wytrzymuje ciężkie ciosy i mleczarnia spółkowa, piekarnia pracuje dobrze, czego dowodem wzrastający wypiek pieczywa. Powstaje ładny, piętrowy budynek, zbudowany rękami uciekinierów kaliskich, dających wzamian za utrzymanie pracę. W domu tym znalazły pomieszczenie: poczta, gospoda, przytułek dla starców tudzież prywatne mieszkania pracowników instytucji liskowskich.

Największym dziełem doby wojennej było zorganizowanie

GIMNAZJUM

Kazimierz Majdański wybudował w środku wsi budynek murowany, kilkuizbowy i wynajął go na sklep mieszkańcom pobliskiego miasteczka, Kozminka. Było to niepożądane z punktu widzenia rozwoju sklepu spółdzielczego, gdyż pod jego bokiem sadowił się prywatny sklepikarz — ale nie najgorsze. Atoli niebawem co się okazuje — zamiast sklepu powstaje... karczma. Najautentyczniejszy szynczek, wraz z którym pojawiło się widmo pijatyk, nieodłącznych jak zawsze tam, gdzie w flachy pobrzękują. Zasepił się proboszcz, zasepili się stateczniejsi gospodarze, pojmujący groźbę demoralizacji. Co tu robić? Rada w radę, rzucono hasło: bojkotować karczmę. Udało się; przeorany ugor wydawać zaczął zdrowe ziarno myślenia społecznymi kategoriami. Karczmarz w niedługi czasie wyemigrował z powrotem do Kozminka, karczmę zamknięto na kolek. Dom stanął wolny do kupna, lub wynajęcia. Cena szacunkowa wynosiła 5,500 rb. Dużo. Zaczęły się zabiegi proboszcza o zdobycie tej sumy celem kupna rzezonego domu. Kołatać u rządu okupacyjnego — próżny trud. Niespodziewany zbieg okoliczności rozstrzygnął ważną kwestię.

Ksiądz Bliziński, jeszcze jako wikariusz katedralny, ubezpieczył się w Petersburskim Towarzystwie Ubezpieczeń na 3.000 rb. W roku 1916 upływał termin wypłaty. Pokonawszy mnóstwo trudności, ks. Bliziński wy dostał swoje trzy tysiące; zatym istniał pokaźny początek. Należało sumę uzupełnić. Sprzedaje tedy konie, powóz — poraz drugi już — i co tam jeszcze miał, byle dopiąć swego. Jakoż zgromadził potrzebny fundusz, i dom Majdańskiego kupił. I oto w domu pokarczemnym powstaje średni zakład naukowy, gimnazjum koedukacyjne. Trzy izby przeznaczono na sale wykładowe, czwartą na kancelarię. Teraz przyszła kolej na uzyskanie pozwolenia władz

okupacyjnych. Dokonano tego. Nim atoli nadeszła odpowiedź, postanowiono nieodwołalnie przystąpić do otwarcia szkoły; rozpoczęto egzaminy wstępne już 25 sierpnia. decydując się na rozpoczęcie wykładów bez oficjalnego pisma. Pozwolenie, na szczęście, lubo z kilkudniowym opóźnieniem przysłano, represje nie groziły. Zastrzeżono jedynie by nie wyklądać łaciny.

Z punktu widzenia dzisiejszego, typ szkoły wybrano niezbyt praktyczny, lecz nasuwa się uwaga inna: w gorączce twórczej, w warunkach wojennych, najważniejszym problemem było dać oświatę, rozszerzyć na klasy dotychczas odsunięte możliwości czerpania wiedzy średniej i wyższej, reszta zostawała na uboczu. Chodziło o cel główny.

W pierwszym roku przyjęto 90 uczniów, opłata wynosiła półrocznie, zależnie od klasy, 15, 20, i 25 rb, w bursie 16 rb. Dyrektorem został p. Dzierzanowski, z wdzięcznością do dziś wspominany wśród swoich wychowanków. Ziściły się marzenia: chłop polski mógł syna kształcić w szkole średniej, mając ją tuż, u siebie we wsi. Skorzystał z tego skwapliwie.

Rok 1918 przyniósł zwrot w rozwoju gimnazjum liskowskiego: w tym bowiem roku przystąpiono do budowy własnego gmachu, na co uzyskano zasiłki: z Ministerium Oświaty 9.000 mk — przesłem wówczas w ręce rządu, mianowanego przez Radę Regencyjną, — z Min. Robot Publicznych — w formie pożyczki 25 tysięcy mark., z Polskiej Macierzy Szkolnej — 600 rb, instytucje ekonomiczne Liskowa ofiarowały 50 tysięcy mrk, różne imprezy — 12.500 mrk, ks. Błaziński — 50.000 mrk, brakującą sumę dopożyczono. Gmach wykończono w niepodległej już Polsce.

Jest to zamczysty budynek, w przyjętym do liskowskich budynków stylu nadwiślańskim, prezentujący się okazale oraz wyposażony w urządzenia nowoczesnej higieny. Może trochę przyciążki w ry-

sunku, lecz naogół o ładnych liniach, a co najważniejsze — obszerny, posiadający moc światła, powietrza...

W nim gimnazjum im. Ks. Piotra Skargi pozostawało do czasu zamiany na seminarium nauczycielskie, bardziej wskazane, zdaniem powołanych czynników dla wsi. W ciągu niewielu lat swego istnienia wydało szereg wychowanków, zajmujących dziś poważne stanowiska społeczne. Krótki, lecz chlubny miało żywot.

* * *

Na tym kończę historię lat kilkunastu Liskowa, lat pełnych wzlotów i upadków, po przez które przewija się niby złota nić, ustawiczna dążność do podniesienia wsi polskiej z grzęzawiska ciemnoty, wykrzesania sił z ludu, drzemiących w nim wiekami całymi, wyglądającego jutrzeńki zbawienia. I zabłysła. Zabłysła blaskiem drżącym, słabym, przyciemniona pożogą wojny, by oświecić popieliska spalonych siól i miast naszych, lecz niosąca radość odrodzenia, bujną nadzieję słońca wolności.

Przyszło i ono. Wyjrzało z za ciemnych chmur, by rozniecić, rozpalić do białości uczucie nieznanego w dziejach poświęcenia Narodu dla sprawy Wolności; porwać w groźnych chwilach przełomowych setki, tysiące i miliony... Naród raz zakosztowawszy słodkiej strawy wolności, zdobył się na heroizm: odparł w bohaterskim porywie atak obcych, wrogich potencji, atak... oby ostatni. Nikt i nic nie zaprzeczy, że mamy wielkie przywary narodowe, że pełnialiśmy wielkie błędy, że grzeszyliśmy ciężko.

Ale też nikt i nic nie zaprzeczy, żeśmy odpokutowali boleśnie, że, nauczeni gorzkim doświadczeniem, zabłysnęliśmy wśród narodów Europy takim blaskiem poświęcenia, taką odwagą obrony, iż w podziw wprawiliśmy Europę i świat cały, umywający

ręce jak Piłat w chwilach, kiedy upiór niewoli stał u progu zrujnowanego domu naszego.

„Bo upaść może i naród wielki, zginąć — tylko nikczemny!”

W historii naszej jest wiele złego, ale nie masz tam zaborczości, hołdu dla brutalnej przemocy, gwałtu nad słabszymi narodami — bodaj by badać ją najskrupulatniej przez szkiełko mędrca.

OKRES III-CI

W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

Kiedy państwo polskie stało się cudowną rzeczywistością Lisków mógł rozprężyć wespół z całym narodem obolałe członki. Rychło też opatrzone szkody wojenne. Wstrząśnięte w posiadach instytucje goją rany bo i atmosfera sprzyjała. Nad karkiem nie stał: ani żandarm potrząsający nahajką, ani żołdak w pikielhaubie.

W wykończonym gmachu gimnazjum otwarta zostaje szósta klasa, liczba uczniów w nim wzrasta do 200, tętno życia rośnie już nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę. Na zwiedzenie oddalonych okolic kraju wyruszają wycieczki pod kierunkiem pedagogów. Lisków zdobywa honor goszczenia u siebie wielu dygnitarzy państwowych, posłów do sejm, obecnych na zakończeniu roku szkolnego.

W roku 1921 gimnazjum przekształcone zostaje na

SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIE

W pierwszym roku istnienia seminarium skupia 169 uczniów. Dyrektorem jest nadal p. Dzierżanowski, który ustąpił w roku następnym. Kierownictwo obejmuje ks. J. Łukaszewicz przy 193 uczniach, lecz po roku ustępuje, a przychodzi (w roku 1925) p. Orczykowski. Uczniów — 133. Obsada nauczycielska wynosiła 9 sił, łącznie z lekarzem szkolnym, wykładającym anatomie i higienę, tudzież prefektem,

ks. drem Niewęglowskim. Przy seminarium istniała bursa. W roku 1927 seminarium przeniesione zostało do Słupcy. W miejsce seminarium organizują się

KURSY PRAKTYCZNO-ZAWODOWE DLA DZIEWCZĄT

Zaniedbane było wychowanie kobiety nie tylko w Polsce, ale w całej Europie; zamknięto ją w ciasnym „gineceum“¹⁾ domowym, darząc większą lub mniejszą dozą szacunku, zależnie od kraju, lecz bez praw samodzielnego człowieka. Bito się o jej cześć, smętni rycerze bładzili po dalekich ziemiach z krajką na chełmie w poszukiwaniu śmiałka, któryby zaprzeczył, jako taka a taka dama nie jest najcnotliwszą i najurodziwszą w świecie. Wyśpiewywali na jej cześć napęczniali uczuciem minstrele „wdzięczne pieśni“, wszelako po zatem — nic a nic więcej. Kobiety wielkich rodów wpływały na bieg dziejów, rzucały do swoich stóp władców, lecz cóż z tego, skoro kobieta w masie, jako istota, obywatel, nie miała prawa brać udziału w życiu publicznym? W Fryzji, na przykład siedmioletni smarkacz, w razie śmierci ojca mógł się ogłosić pełnoletnim i roztoczyć opiekę nad matką; a według prawa rzymskiego, do trzynastego stulecia, mąż mógł żonę darować lub sprzedać. Kobieta nie miała prawa świadczyć w sądzie, a tam, gdzie takowe istniało (na przykład w niektórych kantonach Szwajcarii²⁾) świadectwo dwóch kobiet równało się świadectwu jednego mężczyzny.

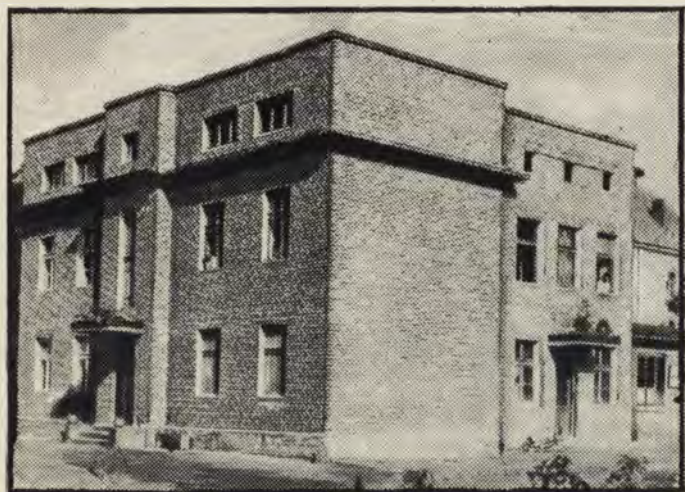
W Kolonii w szesnastym wieku zabroniono szyć kobietom części męskiej garderoby, uznając to za uchybienie... moralności. W Polsce, gdy Komisja Edukacyjna objęła zarząd oświaty zastano jedną jedyną szkołkę dla dziewcząt w Koninie, przy farnym

¹⁾ Gineceum, z greckiego: miejsce przeznaczone dla niewiast i dziewcząt.

²⁾ W kantonie berneńskim.



Młyn parowy Liskowskiej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej
w Koźminku.



Nowy gmach piekarni Spółdzielczej.



Widok z przodu budynku (nieczytelny)



Widok z boku budynku (nieczytelny)

kościelne. Nie znaczy to, by kobiety wogóle nie uczyły się, owszem, lecz należały one wyłącznie do stanu szlacheckiego i przebywały w konwiktach zakonnych, gdzie nauka polegała na poznaniu sztuki pisania i czytania, trochę robót kobiecych i na tym kończyła się edukacja. Przeważnie trwały w skorupie przesądów, lub — na wyższych szczeblach społecznych — oddane bezsensownym nie rozwijającym umysłu banalom towarzyskim. Wiek dziewiętnasty wniósł w za- techłą atmosferę lamusa nowe prądy. Pojawiają się pisarki niepośledniej miary; kobieta wywalcza sobie, acz z trudem, pozycję w ruchu społecznym. Niemniej długo wrota wyższych uczelni były przed nią zamknięte. Pierwszą kobietą-lekarką jest pani Tomaszewicz-Dobrska: za nią idzie dalszy szereg. W roku 1904 jest już w Warszawie kobiet lekarzy — podaje cyfry nie dokładne — 16, by w niedługim stosunkowo czasie kobieta mogła zdobyć zupełne równouprawnienie... Rozstrzygnęła tę kwestię Rzeczpospolita Polska, w sensie nadania jej pełnych praw. Sprawiedliwości stało się zadość.

* * *

Otwarte na podstawie zezwolenia M. W. R. i O. P. obejmowały: tkactwo, kilimkarstwo, kwiaciarstwo, pończoszkarstwo, szczotkarstwo i krawiecczynę. Początkowo roczne, ze względu na zbyt krótki czas do nabycia teoretycznych wiadomości i praktycznego zastosowania, przekształcono je na dwuletnie. Prócz wymienionych przedmiotów specjalnych, zawodowych, program obejmował przedmioty ogólnokształcące, a mianowicie: religię, historię, geografję, rysunki, rachunki. Opłata — 10 zł. miesięcznie; biedne korzystały z nauki bezpłatnej. Pierwszą kierowniczką została pani Maria Kleczyńska. Przeniesienie seminarium do Słupcy, ufundowanie Sierocińca — złożyły się na przekształcenie kursów na Szkołę Zawodową Żeńską, umieszczoną w poseminaryjnych, wygodnym ze wszechmiar

gmachu, gdzie mieści się do dziś dnia. Zmiana kursów na szkołę spowodowała reorganizacja wewnętrzną, osobową, tudzież programu. Podniesiono czas nauki do trzech lat, wymagania w przedmiotach ogólnych, wykładanych przez panią Apolonie Błizińską, rozszerzono. W dwa lata po tym kilimkarstwo i tkactwo uznane zostają jako przedmioty dodatkowe, nieobowiązujące, wprowadzono natomiast dział gospodarstwa domowego z dwuletnim kursem oraz praktycznymi zajęciami. Z uwagi na wcielenie Szkoły Zawodowej Żeńskiej jako część składową do Sierocińca św. Wacława, kierownictwo nią z rąk osób świeckich przejęły SS. Służebniczki ze Starej Wsi, w osobie Siostry Danieli Krosnowskiej, z pozostawieniem świeckiego personelu. W roku 1931 przełożoną zostaje Siostra Klara Cuprysiówna, w tym też roku siły nauczycielskie świeckie ustępują zupełnie z wyjątkiem p. Marii Pająkówny i B. Majkówny.

Obecnie na czele Szkoły stoi Siostra Pulcheria Podrazianka. Od roku 1927 po czas dzisiejszy opuściło szkołę 910 osób, w tym:

dział krawiecki ukończyło	98 absl.
gospodarczy	122 „
trykotarski	19 „

W roku 1936/37 Szkoła posiada sto dwadzieścia uczenic. Szkoła prowadzi obecnie następujące działy: krawiecki — trzyletni kurs; trykotarski — trzyletni kurs; gospodarczy — dwuletni. Dodatkowo są uwzględniane: kilimkarstwo, ręczne i maszynowe, które przechodzą dziewczęta z działu gospodarczego. Uczennice rekrutują się przeważnie z pośród wychowanek Sierocińca św. Wacława, wiele również przybywa z zewnątrz, nawet z bardzo dległych stron kraju. Nauka dzieli się na teoretyczną i praktyczną; teoria obejmuje przedmioty ogólnokształcące: religia, język polski, historia, obywatelstwo, geografia, rachunkowość, gimnastyka, śpiew i przedmioty zawodowe: rysunki, towaroznawstwo, chemia gospo-

darstwa domowego, kostiumologia (a jakżeby!). Nadprogramowo, za oddzielną zapłatą, mogą uczennice pobierać lekcje muzyki na pianinie.

W gmachu szkolnym znajduje się Ochronka oraz Ośrodek Zdrowia i Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem. W działach tych uczennice odbywają ćwiczenia celem uzupełnienia wiadomości praktycznych, nieodzownych kobiecie. W życiu rodzinnym tudzież społecznym. Nauka praktyczna w dziale krawieckim i trykotarskim odbywa się w pracowniach i warsztatach, dział gospodarczy na pierwszym kursie uwzględnia naukę w kuchni, pralni, pracowni w ogrodzie i dodatkowo w tkalni kilimkarskiej oraz szwalni.

Na drugim kursie uczennice przechodzą kuchnię, piekarnię, przetwory owocowe i warzywne oraz szwalnię. Nauka, stosownie do rozporządzenia Kuratorium rozpoczyna się we wrześniu, a kończy w czerwcu. Do szkoły mogą być przyjęte kandydatki zdrowe fizycznie i z ukończoną siódmą lub szóstą klasą szkoły powszechnej.

Przy szkole istnieje samorząd uczenic dzielący się na sekcje: oświatowo-rozrywkową i gospodarczą.

* * *

Piękny zaiste cel wytknęła sobie szkoła, bowiem wedle tego, co czytamy w prospekcie: „wychowanie pod względem intelektualnym i moralnym kobiety, przygotowanie społeczeństwu świadome swych praw i obowiązków obywatelki“. Cóż tu dodać?! Nic, chyba dobre słowo.

„Albo prawa przyrodzone człowieka nie istnieją, albo też są jednakowe dla każdego z racji jego człowieczeństwa, bez względu na płeć“ — wołał kiedyś filozof osiemnastego wieku, szlachetny i mądry człowiek, Condorcet w „Journal de la societe“. Wielkie słowa. Dziś stało się wedle pragnień najszlachetniejszych jednostek. Stało się to dzięki Rze-

czypospolitej mądrym prawom, które wyprzedziły Wielkie Demokracje Zachodu w dziele zrównania kobiety z mężczyzną w obliczu swoim.

Kobieta Polska powinna to sobie zapamiętać!

SZKOŁA ROLNICZA W LISKOWIE, OKRES DRUGI

Wojna, wiemy to już, porwała uczniów szkoły do wojska, w gmachu zaś rozlokowano uciekinierów z rozgromionego Kalisza. Skoro tylko fala odpłynęła, pod kierownictwem p. Cetnerskiego odżywa pożyteczna placówka, dzięki wysoce obywatelskiemu stanowisku p. Puławskiego. W drugim roku szkoła zmienia kierownika i na miejsce p. Cetnerskiego przychodzi p. Starzyński, nauczycielami są: pp. Orłowski i Julian Rosłaniec, ten ostatni zaprojektował i urządził ogród owocowy oraz szkółki. Kurs przeprowadzono roczny, przy udziale 28 uczniów. W roku 1918 prowadzony był kurs roczny, rolniczy, przy udziale szesnastu uczniów, oraz, počawszy od połowy roku kurs mleczarski, liczący 19 uczniów. Kierownikiem był p. Kowalski, nauczycielami: p. Maria Kowalska i p. Orłowski. Częste zmiany kierownictwa nie pozostały bez ujemnego wpływu na rozwój a nawet poziom szkoły. Gdzie doszukiwać się przyczyny częstych zmian? — niewiadomo; a w każdym razie zostawmy to, przechodząc do jaśniejszego okresu szkoły, do jej „dobrych lat“, gdy p. Antoni Piątkowski objął kierownictwo, aby, dzierżyć je w swoich rękach przez dwa lata, ku pożytkowi uczniów, szkoły i kultury rolnej. Z wejściem do niej p. Piątkowskiego ustala się też typ szkoły, na hodowlano-mleczarską, nastawioną na rozwinięcie w słuchaczach przygotowanie ich do prowadzenia gospodarstwa z produkcją podstawową, dostosowaną do struktury gospodarczej kraju. Gospodarstwo szko-

ły doprowadza do stanu kwitnącego, dzięki też jego inicjatywie szkoła otrzymuje pokaźny dar od sióstr Grabskich, w postaci piętnastu morgów ziemi ornej i łąk z warunkiem utrzymania dwóch stypendystów z pośród kształcącej się młodzieży. Przeprowadza kursy żeńskie hodowlano-mleczarskie, od pierwszego kwietnia po pierwszy lipiec 1919 roku przy udziale 17 uczenic, i od 18. VII. do 20. XII. przy udziale 19 uczenic. Następnie kurs tygodniowy dla trzydziestu gospodyń wiejskich, mający je bodajby najpobieżniej zapoznać z obcymi im dziedzinami racjonalnego gospodarowania.

W roku 1920 zorganizowano kurs hodowlano-mleczarski męski, przy udziale 20 uczniów. Następnie znowu widzimy przerwę: wojna polsko-bolszewicka spowodowała wstąpienie młodzieży do wojska. P. Piątkowski również wyruszył w pole... „powąchać z tabakiery Gradywa“. Szkoła Rolniczo-Hodowlana znowu spełnia rolę doraźnego przytułku dla dzieci z zakładu opiekuńczego w Białymstoku, przewiezionych do Liskowa. Taki już los jej śnać wypadł. Rok 1921 zaczyna normalizować sprawy szkoły, — wrócił p. Piątkowski z wojny, wróciła w rodzinne progi i młodź pragnąca się uczyć a oderwana od książki czy radła czy pługa na pole walki. W tym też roku przeprowadzonym zostaje kurs rolniczy męski przy udziale 21 uczniów, od 17 maja do 17 czerwca, poczem następuje tygodniowy kurs żeński przy udziale 19 uczenic. Od pierwszego lipca do ósmego tegoż miesiąca kurs pszczelniczo-ogrodniczy przy udziale 32 słuchaczy. Niestety, jakieś fatum ściga szkołę: p. Piątkowski oddaje kierownictwo in-nemu nauczycielowi, zresztą, człowiekowi najlepszych chęci, atoli sam fakt zbyt częstych zmian nie mógł sprzyjać rozbudowie. Widzimy spadek znaczny uczniów, bowiem przeprowadzony kurs miesięczny męski grupuje zaledwie dziesięciu uczniów, zatym niewspółmiernie mało do nakładu

finansowego na tę placówkę. Rok 1922 był znacznie lepszym — półtoraroczny kurs rolniczo-hodowlany gromadzi 25 słuchaczy, następny kurs, miesięczny, rolniczy wyłącznie, 24 słuchaczy. Od piętnastego listopada 1923 roku rozpoczął się kurs rolniczo-hodowlany roczny, przy udziale bardzo znacznym uczniów, bowiem 54, z których ukończyło kurs 36.

Z uwagi na trudności wynikłe przy zajęciach praktycznych chłopców z powodu braku odpowiednich i odpowiednio urządzonych budynków gospodarskich, Wydział Oświaty Rolniczej przy C. T. R. w roku 1925 przystąpił do wzniesienia pomieszczeń, kompletując urządzenie szkoły z dostosowaniem takowego do potrzeb.

* * *

Szkoła Rolniczo-Hodowlana przechodziła różne koleje. Początkowo własność C. T. R. później Centralnego Tow. Kół i Org. Rolniczych, w roku 1935 w kwietniu stała się własnością Łódzkiej Izby Rolniczej. Nazwa szkoły uległa zmianie i brzmi obecnie: Szkoła Hodowlana w Liskowie.¹⁾

Po p. Piątkowskim, który po dłuższej przerwie wrócił na swą placówkę kierownika szkoły i pozostawał na niej do lipca 1935 r. objął kierownictwo p. Kazimierz Sprusiński, długoletni pracownik Liskowa, b. kierownik kursów mleczarskich. Majątek szkoły według ostatniego szacunku, wynosi 102 tysiące złotych, budżet, zależnie od ilości uczniów, wyraża się na rok bieżący, t. j. 1936/7, sumą 43.202 zł. Gospodarstwo szkolne posiada kompletny inwentarz żywy i martwy, budynki utrzymane w doskonałym stanie, oraz kilkanaście morgów liczący szmat roli, znakomicie zagospodarowany. W roku 1931 szkołę

¹⁾ Już w trakcie pisanja niniejszej książki, nazwa uległa zmianie na: „Szkoła Hodowlano-Społeczna”.

nawiedził pożar: spłonęła część gmachu, odbudowana z zapomogi Ministerium Rolnictwa.

Podczas swej bytności w Liskowie w roku ubiegłym, P. premier Składkowski, któremu wysoce podobał się stan szkoły i jej wyniki, ofiarował do wręczenia prymusowi-uczniowi wóz z koniem i kompletną uprzężą, z warunkiem, aby na nim wyjechał z Liskowa po ukończeniu kursu.

Na kurs przyjmowani są kandydaci z ukończonymi czterema klasami gimnazjalnymi lub pełną szkołą powszechną, kursy są dwa w roku, po ukończeniu słuchacze otrzymują świadectwa tymczasowe, wymieniane na świadectwa stałe po odbyciu conajmniej półrocznej praktyki w gospodarstwach, lub organizacjach hodowlanych. Nauka wraz z całkowitym utrzymaniem w internacie szkoły kosztuje 30 zł. miesięcznie, czyli za cały czas trwania kursu 150 zł. Dotychczas ukończyło szkołę ogółem 628 uczniów, rozsypanych obecnie po całym kraju.

STAŁE KURSY MLECZARSKIE

Z inicjatywy C. T. R. powstały w roku 1926 Kursy Mleczarskie, zapewne ze względu na istniejącą i dobrze prosperującą mleczarnię spółdzielczą, jako dopełnienie jej teoretyczne. Początkowo dorywcze, prowadzone przez p. Sprusińskiego, dwu i trzy miesięczne, przekształcone zostały na stałe w roku 1927 od 1 października, przy dość znacznej frekwencji, wynoszącej przeciętnie około czterdziestu uczniów. W roku 1927 kierownictwo kursów przechodzi do rąk p. Sochaczewskiego, prowadzącego je do roku 1928; w tymże roku kierownictwo kursów obejmuje inż. Cesul, pozostający na tym stanowisku nieprzerwanie do roku 1932. Kursy mieściły się w budynku ówczesnej Szkoły Rolniczo-Hodowlanej; zajęcia praktyczne odbywali słuchacze w Mleczarni Spółdzielczej. Kurs obejmował pięć miesięcy i polegał na poznaniu teoretycznym oraz praktycznym

dziedziny mleczarskiej, upośledzonej bodaj dotychczas w naszym gospodarstwie narodowym. Do względów przyczyniających się do otwarcia Kursów należy dodać ożywienie, jakie miało miejsce w latach dobrej koniunktury gospodarczej no i, co za tym idzie, zapotrzebowanie na tego rodzaju specjalistów mleczarzy. Czy spełniły swe zadanie? Zdaje się że tak, skoro weźmiemy pod uwagę ogólny stan naszego mleczarstwa, należącego — o czym wspomniałem — do kopcuszków w produkcji krajowej. W każdym razie powiększyły zastęp mleczarzy zawodowców, o 135 osób, pracujących dzisiaj na różnych placówkach tego typu, względnie na własnych gospodarstwach. Razem w ciągu pięciu lat, odbyło się 6 kursów mleczarskich pięciomiesięcznych i sześć dziesięciotygodniowych.

Wróćmy teraz do naszej pierwszej placówki, powstałej w roku 1902, macierzy wszystkich, bez przesady powiedziawszy, instytucji liskowskich, dzisiaj noszącej firmę:

SPÓŁDZIELNIA ROLNICZO-HANDLOWA

Ojcem jej był skromny wiejski sklepik, jednocząc w sobie wszystkie wysiłki około podniesienia stanu ekonomicznego wsi polskiej, nietylko w ciastnym rozumieniu jednej wioski, lecz w znaczeniu znacznie szerszym.

Już w niepodległym Państwie Polskim na jednym z zebrań, ks. Bliziński rzuca śmiałą myśl: zorganizowania Stowarzyszenia Zbożowego. Powstaje ono na początku 1919 przy 51 członków z udziałami wynoszącymi 500 mk. i 10 markami wpisowego. Gdy młyn w Liskowie okazał się niedostateczny, zakupiono 1/3 dużego młyna w pobliskim Koźminku.

U schyłku tegoż roku 1919, dzięki inicjatywie energicznego ks. pośła Blizińskiego, wówczas już kanonika kapituły kaliskiej, zorganizowane zostaje



<http://rcin.org.pl/ifis>
Pracownicy spółdzielni liskowskich. (Pośrodku Prezydium 4 osoby).

<http://rcin.org.pl/ifis>

Stowarzyszenie Budowlane, poddane — zgodnie z uchwałą członków — kontroli istniejącego wtenczas Ministerium Robót Publicznych. Stowarzyszenie Budowlane posiadało na własność cegielnię, położoną na krańcach wsi a zbudowaną na zakupionym gruncie, a lubo glina na cegłę nie odznacza się doskonałością, wszelako istnienie cegielni znacznie posunęło kwestię rozbudowy; na miejsce kleci przypominających budownictwo praojca Piasta, zaczerwieniły się, wesołą czerwienią palonej cegły nowe budyneczki. Zanikły również słomiane strzechy, może urocze, może wzbudzające sentymentalizm i zapładniające twórczość poetów misternymi rymami — lecz diabelnie niepraktyczne.

Ano, cóż robić?! Poeci jakoś muszą tę stratę przeboleć, nadrobić czym innym.

* * *

Te to stowarzyszenia złączyły się z starym naszym znajomym, „Gospodarzem“, w jedną organizację spółdzielczą, której nazwa figuruje w tytule niniejszego rozdziału, czyli Spółdzielnię Rolniczo-Handlową, pod jednym pozostającą kierownictwem, przy oddzielnie prowadzonej rachunkowości. W roku 1935 w lipcu, w budynkach pofabrycznych w Opatówku, pamiętających czasy mądrego księcia Lubeckiego, zostaje otwarta filia Spółdzielni z magazynem skąd, zakupujący większe partie towarów odbierają go po potrąceniu za przewóz.

W roku 1936 na podworczu Domu Ludowego wzniesiony zostaje, kosztem 25 tysięcy złotych, jedno-piętrowy gmach z pomieszczeniem na piekarnię, marnię i na piętrze mieszkaniami dla pracowników. Piekarnia, z maleńkiej przeobraża się w znaczną, wydającą dziennie około pięciuset kilogramów chleba i sześćdziesięciu kilo bułek, (mówię w liczbach okrągłych, przeciętnych dla całego roku).

Młyn w Koźminku stał się całkowitą własnością Spółdzielni i dostarcza mąki na użytek piekarni własnej, oraz przemiała zboże dostarczone prywatnie; w roku 1935 przemęli 1,159 tysięcy kilogramów. Założono betoniarnię zatrudniającą w sezonie 5-ciu a nawet więcej ludzi, produkującą płyty, dreny i t. p. W roku też ubiegłym uruchomiono skup jaj dla zapobieżenia pośrednictwu prywatnemu. Sam zaś sklep powiększony, dostosowany do wymogów rozrastającego się ruchu przerobiono i obecnie zajmuje ogromną halę, pełną gwaru, z przewijającymi się sznurami kupujących. Jednym słowem Europa.

Ostatnie lata działalności Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, którą prowadzi znakomity kierownik, p. Otawski, orientujący się w lot w potrzebach handlu, człowiek dużej przyszłości, — ilustrują następujące liczby:

Rok	Ilość członków	OBRÓT	czysty zysk	Ilość pracowników		Razem
				umysł.	fizycz.	
1926	174	394493	11815	8	18	26
1927	168	522969	8767	8	19	27
1928	177	673661	13462	8	21	27
1929	182	688344	4940	7	23	30
1930	175	567621	720	7	23	30
1931	179	557063	1753	7	19	26
1932	171	461946	299	6	20	26
1933	182	341628	50	6	20	26
1934	176	259896	59	6	16	32
1935	174	354937	764	7	20	27
1936	193	495226	4463	7	24	31

Na czele Spółdzielni Rolniczo-Handlowej stoi Rada Nadzorcza i Zarząd. Do Rady należą pp.:

Antoni Piątkowski — prezes, Ks. W. Bliziński — wiceprezes, J. Bruź — sekretarz, Szymon Walis, Walenty Domagała, Józef Przygodzki. Zarząd stanowią pp.: Książd Aleks. Kwiatkowski — prezes. Szym. Sobczyk, Karol Kubiak.

Henryk Otawski — kierownik Spółdzielni.

Obecnie Spółdzielnia prowadzi następujące działy:

Sklep detaliczny, kolonialno-spożywczy, magazynową sprzedaż towarów opałowych, budowlanych i innych w Liskowie i Opatówku, Młyn w Koźminku, cegielnię i betoniarnię.

Wartość majątku nieruchomego wyraża się sumą	75,107 zł.
Wartość majątku ruchomego wyr. się sumą	113,100 „
w towarach	52,850 „
Razem	241,057 zł.

Tak w cyfrach przedstawia się dorobek instytucji, powstałej z małego sklepiku, któremu wrócono rychły upadek, a tym co pierwsi stanęli do współpracy z młodym wówczas proboszczem, obiecywano — proszę mi wybaczyć dosadność wyrażenia, lecz powtarzam tylko dosłownie: „wyjdziała ze swoim sklepem bez portek“.

Ci chodzą dzisiaj w dostatniej przyodziewie, a jeszcze więcej, w słusznej dumie:

Kasa Drobego Kredytu, Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa, Bank Ludowy, Kasa Stefczyka.

Takie nazwy miała instytucja kredytowa, póki w rezultacie przeobrażeń nie przybrała dzisiejszej nazwy: Kasy Stefczyka.

Znamy już jej dzieje „starożytne“, ginące kędyś w pomroce rosyjskiego bezprawia na ziemiach polskich. Wiemy iż wojna ogołociła Kasę ze środ-

ków finansowych i pozostał wyłącznie dom, trochę gratów i drobnych pieniążków.

Gdy ostatnie dymy wojen rozwiały się, powołano również do życia Kasę, lecz na zasadzie nowego statutu pod nazwą:

BANK LUDOWY

Stało się to w roku 1921. Czasy atoli nie sprzyjały, brak stałej waluty krzyżował zamierzenia finansowe i absolutnie uniemożliwiał operacje kredytowe. Marka leciała z pieca na łeb. Co przed tygodniem stanowiło pokaźną kwotę, w tydzień czasu można było za tę sumę kupić bochenek chleba lub paczkę papierosów. Ludziska nosili naręcze papierów; roztropniejsi, puszczali je dalej, zakupując co w rękę wpadło, inni, wiele naszych poczciwych kobiecinek po staremu utykało nimi sienniki. Bawiły się później owymi papierkami dzieci. Nie można było zatem ruszyć się ani w lewo, ani w prawo. Dlatego Bank Ludowy zmuszony był zawiesić wszelkie operacje aż do czasu reformy walutowej. W roku 1924, waluta została ustalona, lecz niestety nie było czym operować. Wkładów nie było a kapitał przedstawiał się w formie nieruchomości. Niebawem, bo w tymże 1924 roku, Bank podejmuje czynności. Na zwołanym zebraniu uchwalono: zatwierdzić bilans waloryzacyjny na dzień pierwszego stycznia 1924 roku, w sumie 35,262 zł, przyłączając rzeczywistą wartość nieruchomości, ocenionej w nowej walucie na 22,673 zł, do wyżej podanej sumy bilansowej, oraz do tejże sumy dołączyć akcje i papiery procentowe przewaloryzowane na 10,945 zł. i pożyczki tudzież gotówkę znajdującą się na 1,644 zł. Zwaloryzować udziały członków i fundusze własne na 10⁰/₀ wartości w złocie oraz na 15⁰/₀, z tym zastrzeżeniem, że wszelkie dochody, jakie Bank mieć będzie, przeznaczone zostaną na dopełnienie wkładów do 50⁰/₀.

Tak uporano się z gordyjskim węzłem wyprowadzenia na czyste wody kwestii dość zawilej i czulej.

W roku 1925 Centralna Kasa Spółek Rolniczych udziela Bankowi pożyczek na prowadzenie operacji kredytowych; w tym też roku poczynają napływać wkłady. Zaufanie, a z nim stałą wartość posiadający pieniądź, napływa powoli.

W roku 1926 Bank Ludowy zmienia swój statut i przybiera nazwę, pod którą do ostatnich czasów pracuje, a mianowicie

KASĄ STEFCZYKA

Działalność tej Kasy przejawia się w następujących liczbach:

Rok	członk.	wkłady	pożyczki	obrót	zysk	Suma bilansowa
1924	545	41.747	62.252	258 010	—	62.252
1925	667	34 780	87.838	596.950	—	87.838
1926	669	48.635	83.532	925 085	240	83.582
1927	694	56.894	102.971	1.525.647	1370	102.991
1928	488	67 954	139.558	1.552.385	1773	139.558
1929	496	96 325	97.581	1.654.736	529	148.678
1930	599	171.464	212.287	1.538.137	1318	262.321
1931	598	163.931	222.578	1.770.364	200	267.998
1932	577	121 146	227.686	1.190.194	64	274.350
1933	560	113.932	211 811	1.075 967	2634	257.665
1934	567	132.350	196.876	1.263.024	2522	258.499
1935	591	148.174	203.245	1.463 068	1430	274.479
1936	670	143.646	231.743	1.758.312	—	300.000

Do Rady Nadzorczej należą p. p.:

Ks. prałat Błaziński, Ant. Piątkowski, Szymon Napadłek, Szymon Walis, Ksawery Pyrek, Fran-

ciszek Szczepański. Zarząd stanowią: Ks. Aleksander Kwiatkowski, Szymon Sobczak, Ignacy Bartczak. Wartość majątku nieruchomego wynosi 52.468 zł. Wartość majątku ruchomego wynosi 1.727 zł.

Własnością Kasy jest Dom Ludowy, z siedzibą Spółdzielni, oraz gmach piekarni i masarni, magazyny i składy.

SIEROCINIEC ŚW. WACŁAWA

„...a potem to my troszkę mieli lepiej, a troszkę nie; a potem to mamusia prała i przynosiła nam zawsze takie duże, o, takie — pokazała rączką — rogałe od piekarza, gdzie mamusia prała i sprzątała...“

Głos dziecka wpadał stopniowo w matowy odcień, stawał się miękniejszy jakiś, tracący zwykły dziecienny dźwięk, przechodził w cichy szept prawie, by zamilknąć do cna, wtłoczony w gardło urywanym spazmem .

— ...powiedz, co potem?...

Dziecko wybuchnęło rześnym płaczem:

— ...potem to już my mamusi nie mieli, tylko sąsiadka, ta z trzeciego piętra, opiekowała się nami...

Nie chciałem dłużej badać, bo i po co krwawić serce temu maleństwu, skoro życie nie oszczędziło mu, u samego proga, największego ciosu jaki człowieka może spotkać: odebrało mu matkę, ojca — dwie istoty najcenniejsze, najkochańsze i niezastąpione.

To dziecko już nigdy nie powie — mamó. To dziecko już nigdy nie zazna pieszczot, jakie może dać wyłącznie matka.

Bo matka to wielkie i święte słowo. To noce nieprzespane, dni pełne lęku o zdrowie, o życie dziecka. Bo matka to bezmiar poświęcenia, poddania się tyranii uczucia — to przeogromna miłość i straszliwa nienawiść, to pieskie przywiązanie, to bezmiar przebaczenia.

Odrąca wszyscy, z obrzydzeniem odwróca się wszyscy, pogardą otoczą wszyscy — ona nie widzi nic i nikogo: ślepa i głucha na złorzeczenia, na niechlujstwo ciała i ducha — przyjmie, przycisnie do serca i bodajby córka lub syn, sędzielną było pokryte, w jej oczach będzie tylko... dzieckiem. Ona żyje jego życiem, jego radością i smutkiem. Krótki dźwięk: matka, zawiera w sobie tajemnice bytu, treść życiową, której pisarze poświęcili wiele talentu, czasu i uczucia.

Wiele z tej dziatwy, zamieszkującej Sierociniec nie znało jej zupełnie.

* * *

Szeroko, daleko ciągną się rozłogi pól poprze-
cinanych w długie węzowiska ciemnozielonych, omar-
twiałych zbóż, nieprzykrytych na zimę kożuchem
śnieżnym. Z pomiędzy nich wyrasta imponujący,
cały teraz w słonecznej ulewie pogodnego, wietrzne-
go dnia gmach nowego pawilonu dla dziewcząt:
biały, spokojny w liniach. Przed nim, na podium
w środku basenu mała, ujmująca prostotą grupa:
chłopczyk z dziewczynką, prawie naturalnej wiel-
kości, schronili się pod parasolem: przed spiekotą
czy burzą — mniejsza z tym. Pulchne buziaki, przy-
pominające puciołowatych aniołków mistrzów wło-
skich, witają na wstępie wchodzącego.

Gmach w kształcie aeroplanu, o gładkich, bez
przybudówek i modernistycznych ozdobności; wdzię-
czny w wyglądzie zewnętrznym sprawia miłe wra-
żenie na patrzącym. Kilka rzędów okien dużych, we-
neckich, dają moc światła i słońca. Teraz, w samo
południe pogodnego, mroźnego dnia połyskuje szy-
bami. Drzwi potężne, o dwóch skrzydłach prowadzą
do wnętrza.

A po drugiej stronie szosy tułają się jeden przy
drugim pawilony drewniane, przysadziste, utrzyma-

ne wszystkie w jednym stylu, przeznaczone dla chłop-
ców. Przyjdzie i na nich czas: doczekają się pomiesz-
czeń odpowiednich. Te pawilony to robota „na chyb-
cika“ kiedy potrzeba dania stałego dachu nad głó-
wą kilku setkom „exulów“ dziecięcych z Białego-
stoku pędziła do zetknięcia bodajby jakiego takiego
schroniska. W dali, długim pasmem ciągną się bu-
dynki: już to gospodarcze, już to warsztaty rze-
mieślnicze. Na końcu — szpitalik, kapliczka, ogró-
dek przed nimi; no i takie całe gospodarstwo.

Sierociniec powstał w tragicznym roku 1920.
A jak to było opowiem:

W Białymstoku istniał obóz dla repatriantów,
utrzymywany dzięki pomocy Amerykańskiego Czer-
wonego Krzyża, pod zarządem Amerykanów, a ogólnym
kierownictwem Jeneralnego Komisarza do
Spraw Repatriantów. Obóz ten przeznaczony był
wyłącznie dla dzieci pozbawionych wszelkiej opieki,
lub których rodzice nie mieli żadnych środków na
utrzymanie. Było ich tam około osiemset. Przedsta-
wiały obraz nędzy i rozpacz, wymizerowane, spo-
niewierane przez życie, takie strzępy ludzkie, swym
wyglądem przypominające kościotrupy a nie żywe
istoty. Czego niektóre z nich nie widziały — trudno
opowiedzieć. Były wśród nich takie, których koleje
przypominają baśnie, wytwory bujnej fantazji a nie
rzeczywistość. Lecz ta rzeczywistość krzyczała głoś-
no: mówiły o niej suche kikuty rąk, piszczące nóg,
wydęte brzuchy, zapadłe, błyszczące fosforycznym
blaskiem oczy — oto dziatwa szukająca schroniska
w naprędce stworzonym zakładzie białostockim.

Tymczasem rok 1920 przyniósł groźną falę czer-
wonych watah, prących nieprzerwanie: naprzód i na-
przód. Mogły ogarnąć zakład białostocki, a wraz
z nim i dzieci. Sytuacja z dnia na dzień stawała się
krytyczniejszą, póki potężny odruch narodu nie stał
nieprzyjaciela, nie odrzucił go hen aż za dzi-
siejsze granice Rzeczypospolitej. Należało wywieźć



Przedstawicielka wychowanek liskowskich.
<http://rcin.org.pl/ifis>

dzieci w spokojniejsze okolice kraju, gdzie zagony nieprzyjacielskie nie dotrą. W tym czasie Ks. Bliźniński był posłem do sejmu, znając zaś stan rzeczy zaofiarował się przyjąć wspomniany zakład do Liskowa. Czas pilił, pilił też Komisarz Jeneralny P. Pawlikowski o rychłe usunięcie zakładu z Białogostoku. Nie potrzeba było na ks. Bliźnińskiego nacisku, szybko powziął postanowienie i szybko je wykonano.

Dnia tedy 20 lipca 1920 r. zjechał na stację Opatówek olbrzymi pociąg naładowany po wręby dziećmi, wślad za nim przybyły inne, wiozące potrzebne urządzenia, razem z personelem coś 1200 osób¹⁾.

„Ochronka zwieziona ze stacji Opatówek do Liskowa przy pomocy liskowskich parafian i okolicznych dworów, rozmieściła się w gmachu miejscowego gimnazjum, na plebanii, wikariatce, oraz w czternastu rozpiętych dużych namiotach na ziemi plebańskiej i Szkoły Rolniczej. Zarząd i opieka nad dziećmi i szpitalem spoczywały na początku wyłącznie w rękach Amerykanów, (pułkownik Snoow i dr. Zalesski). Kiedy jednak bolszewicy zaczęli się zbliżać pod Warszawę i zagrażać całej Polsce, wówczas Amerykanie, zgodnie z rozporządzeniem swojej władzy, opuścili Lisków przenosząc się do Krakowa, a cały wielomilionowy, (w markach) majątek Ochrony zapisali odpowiednim aktem wezwanemu telegraficznie z Warszawy ks. Bliźnińskiemu do zupełnej dyspozycji“.

„Po szczęśliwym zwycięstwie nad bolszewikami ks. Bliźniński w pierwszych dniach września zwrócił się do J. U. R., z żądaniem zabrania ochronki, gdyż trzymanie dalsze w zakładach naukowych, ze względu na zbliżające się w październiku otwarcie roku szkolnego, oraz rozmieszczenie pokażnej liczby dzieci w namiotach ze względu na zbliżającą się zimą

¹⁾ Z księgi protokołów Sierocińca św. Wacława.

— było niemożliwe. Komisarz Jeneralny, p. Pawlikowski oświadczył, że ochrony, po zniszczeniach bolszewickich, nie ma gdzie w kraju umieścić i zgodnie z życzeniem Amerykanów, oraz różnych członków Rządu Polskiego zaproponował, aby schronisko sieroce zostało w Liskowie na stałe, motywując między innymi, że w tej wsi są zakłady naukowe, z których dzieci schroniska doskonale będą mogły korzystać. Ks. Błaziński zgodził się na pozostawienie schroniska ale pod pewnymi warunkami, a mianowicie:

- 1) Rząd Polski da fundusz na budowę odpowiednich pawilonów,
- 2) liczba dzieci będzie ograniczona najwyżej do 350,
- 3) i o ile znajdzie się ziemia na wsi pod budowę kolonii.

Rząd, zgodnie z wyrażonym życzeniem ks. Błazińskiego wyasygnował 23 miliony marek i rozpoczęto budowę, którą powierzono inż. Wardęskiemu z Kalisza. Do wzniesienia budynków, a szczególnie szpitala, przystąpiono zaraz we wrześniu i już w grudniu dzieci do szpitala, posiadającego trzydzieści łóżek, przeniesiono. Naturalnie, wobec pośpiechu, braku cegły na miejscu (cegielnia spółdzielcza dopiero w rok później powstała) i prowadzenie budowli w zimie, budynki stawiano drewniane i dopiero począwszy od kąpielowego domu są murowane. Czteryście pięćdziesiąt dzieci, głównie prawosławnych, rozesłano po różnych przytuliskach na Pomorzu i w Poznańskim, a nieuleczalnie chorych po zakładach w Warszawie. Ziemię pod budowę kolonii nabyli parafianie (Stow. Budowlane) od Jana Badowskiego, pod Liskowem (7 i 1/2 morgi) i ofiarowali takową Sierocińcowi na własność, głównie dzięki staraniom wikariusza, ks. A. Kozaneckiego. Ponieważ Szkoła Rolnicza na jesień nie była uruchomiona, przeto dzieci przez jesień i część zimy mieszkały w tym budynku, częściowo w gimnazjum, oraz w kilku prywat-

nych domach, a do pawilonu głównego i niezupełnie wykończonego zostały przeniesione w lutym 1921 roku. Jednocześnie ze zgodą wyrażoną na pozostawienie ochrony w Liskowie, ks. Bliziński zwrócił się we wrześniu 1920 do SS. Szarytek w Warszawie aby objęły opiekę nad zakładem, opieka bowiem komisarzy, po wyjeździe pierwszego, dzielnego komisarza Chrzanowskiego i osób świeckich była żadna, a prowadzenie zakładu nie stało na odpowiednim poziomie. Szarytki jednak, jak również Rodzina Marii i Zmartwychwstanki, odmówiły, tłumacząc się brakiem sióstr i obiecując dopiero w lecie 1921 roku objęcie schroniska, Ks. Bliziński wówczas za radą Sióstr Magdalenek zwrócił się do Matki Generalnej Sióstr Służebniczek N. Marii Panny w Starej wsi (w Małopolsce), z prośbą o zaopiekowanie się schroniskiem. Matka Generalna, Eleonora Jankiewicz, zgodziła się, przysyłając na razie 5 sióstr, zakład sierocy został pod kierownictwem Siostry Przełożonej, Stanisławy Nagajówny, objęty w posiadanie dnia 15 lutego 1921 roku.

Sam akt przekazania ks. Blizińskiemu majątku Amerykańskiego Czerwonego Krzyża nosi datę 12 lipca 1920 roku i brzmi króciutko.

„Ochronka A. C. K. Upoważnienie“.

„Niniejszym zaświadczam, że cała własność Amerykańskiego C. K. postawiona w ochronce J. U. R. w Liskowie i Opatówku powierzona została ks. Posłowi Blizińskiemu. Ks. Poseł Wacław Bliziński jest upoważniony do dysponowania wszystkim i do pokwitowania wszelkiej pozostawionej własności przez Amerykański Czerwony Krzyż w Liskowie i Opatówku, jak również do odbierania transportów, które przybędą koleją lub pocztą do Opatówka lub Liskowa“.

(pieczęć)
(A. R. C.)

(—) Franc. W. Snoow
Major A. R. C. Dyr. Ochronki
w Liskowie.

Dowód ten istnieje w aktach Sierocińca i stanowił ważny dokument prawny, mocą którego ks. prałat Bliziński, wówczas poseł do Sejmu Ustawodawczego, stawał się generalnym plenipotentem olbrzymiego inwentarza, mogąc nim dysponować.

Dnia 11 grudnia odbyła się uroczystość poświęcenia Sierocińca, w której wzięli udział przedstawiciele Rządu w osobach ministrów: Pracy p. L. Darowskiego, Zdrowia — dra Chodźki, Aprowizacji — J. Stroińskiego. Sejm reprezentowali posłowie tudzież wicemarszałek Maj, Komitet Amerykański — dyrektor Odechowski, dr. Taylor, przedstawiciel Hoover'a a p. p. Baldwin i dr. Zaleski — Amerykański Czerwony Krzyż; woj. białostockie — delegacja kilkunastu osób ze starostą Bielskim i posłem Łosiem, prasę — p. Bojanowska, redaktorka „Zjednoczenia”. Był również p. Pawlikowski, komisarz generalny J. U. Ra, p. Bronisław Krakowski, naczelnik wj. wydz. pr. i op. społ., kurator Okręgu Naukowego, dr. Jarosz i szereg innych osób z daleka i z bliska.

W maju 1922 roku ks. Bliziński udał się do Ameryki, skąd przywiózł 2,787 dolarów na dalszą rozbudowę sierocińca, uzyskane wśród Polonii Amerykańskiej dzięki poparciu ówczesnego konsula polskiego w Nowym Jorku. Uzyskuje zapewnienie tamtejszych Polaków, przysyłaniu na potrzeby Sierocińca po trzysta dolarów miesięcznie, prócz tego ks. prałat Bronisław Jankowski z Ameryki ofiarował na budowę nowego pawilonu 2.000 dolarów. W roku 1923 w maju ks. Bliziński ofiarował Sierocińcowi 60 morgów lasu w Kozłatkowie, na letnisko dla dzieci, z warunkiem, że 30 morgów zostanie oddanych do dyspozycji Sióstr Służebniczek w razie gdyby zmuszone były do przymusowego opuszczenia Zakładu.

Do pierwszego stycznia 1924 roku Rząd wpłacił, po przeliczeniu na złote, na wydatki związane

z rozbudową i utrzymaniem Sierocińca sumę 154,387 zł. sejmik pow. kaliskiego — 15,238 zł. prócz tego Polacy amerykańscy, dzięki zabiegom konsula p. Okołowicza, — 4.511 dolarów, z funduszu t. zw. Japońskiego wpłynęło 237 dol. z dalekiej Australii — 10 funtów szterlingów. Dzięki tym zasilkom, oraz pożyczce z Banku Gospodarstwa Krajowego w sumie 10.000 zł. wykończono budynek Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej oraz wzniesiono budynek murowany w którym umieszczono: spiżarnię, mleczarnię, piekarnię i piwnicę, postawiono również budynek dla maszyn stolarskich i pokój dla służby; w ciągu tego okresu tj. do 1924 roku urządzono gabinet dentystryczny. W roku 1925 wzniesiono budynki gospodarcze, pomieszczenie dla krów, koni, chlewy, magazyn zbożowy, garaż na auto, mieszkanie dla gospodarza, zdrenowano grunty należące do Sierocińca, ogrodzono drucianym płotem dziedziniec. W tym też roku Sierociniec gościł w swych ścianach przedstawicieli zagranicznych organizacji rolniczych oraz nielada gościa — był nim Prezydent Rzeczypospolitej, Wojciechowski przybyły dla zwiedzenia wystawy „Wieś Polska“. Przybywał poraz drugi ale już nie jako skromny pracownik na niwie spółdzielczości, lecz w majestacie Gospodarza Państwa Polskiego.

Na mocy aktu fundacji zatwierdzonego przez Ministerium Pracy i Opieki Społecznej w dniu 28 lipca 1922 roku, Ks. prałat Wacław Bliźniński, został uznany dożywotnim Kuratorem Sierocińca, któremu nadano nazwę, z uwagi na osobę gorliwego rzecznika tej instytucji i jego wybitne zasługi w tym kierunku, Sierocińca św. Wacława, patrona ks. Bliźnińskiego.

Majątek Sierocińca składa się:

72 morgi ziemi ornej,

60 morgów lasu,

12 morgów torfu,

wartości według sum bilansowych z roku 1936
147,303 zł. 20 gr.

Budynki.

9 budynków mieszkalnych,

7 budynków gospodarczych,

wartość w/g sum bilansowych z roku 1936 —
414,943 zł. 56 gr.

wpływy w/g sprawozdania rachunkowego za
rok 1935/6 — 200,421 zł. 80 gr.

wydatki w/g sprawozdania za tenże czas —
200,195 zł. 38 gr.

w/g preliminarza na rok 1936/7,

wpływy — 168,119 zł.

wydatki — 158,119 zł.

W roku bieżącym w Sierocińcu znajduje się:
razem wychowanków — 279, z tego — 140
chłopców, 139 dziewcząt, w tym:

sierot zupełnych chl. 67, dziewcząt 83, = 159.

pólsierot chl. 45, dziewcząt 41 = 86

sierot co do których brak danych chłopców 19,
dziewcząt 15 = 34.

W roku 1936 było w Sierocińcu:

chłopców 141, dziewcząt 141 razem 282,

w roku 1935:

chłopców 140, dziewcząt 139 razem 279,

w roku 1934:

chłopców 139, dziewcząt 137 razem 276,

w roku 1933:

chłopców 146, dziewcząt 136 razem 282,

w roku 1932:

chłopców 148, dziewcząt 130 razem 278,

w roku 1931:

chłopców 150, dziewcząt 141 razem 291.

W roku 1932 wykończono i oddano do użytku
wspaniały gmach nowego pawilonu dla dziewcząt,
plany projektował i roboty prowadził wychowanek
Sierocińca. Koszt budowy 250 tysięcy złotych. To
już pałac. O olbrzymich weneckich oknach, z naj-

Szkoła zawodowa Żeńska której założenie i podstawowe zadania omówiłem w osobnym rozdziale.

Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa z działami specjalnymi, a mianowicie: stolarskim, zabawkar-
kim, ślusarsko mechanicznym — wszystkie działy prowadzone przez wykwalifikowanych zawodowców; niezależnie od tego wychowankowie mogą korzystać ze Szkoły Hodowlanej, tudzież odbywać praktyczne zajęcia, zależnie od obranego zawodu, w instytucjach ekonomicznych Liskowa. Przy Sierocińcu istnieje szpitalik na trzydzieści łóżek, pod kierunkiem dra Kosińskiego, mającego równocześnie pieczę nad stanem higieny i zdrowia wychowanków.

Na terenie Sierocińca istnieją organizacje o charakterze społecznym, których członkami są dorastający wychowankowie względnie wychowanki.

Straż ogniowa 28 chłopców,
przysposobienie wojskowe 36 chłop., 29 dziewcząt
orkiestra 24 instrumenty, wszystkie obsadzone,
harcerstwo 83 obojga płci, podzielone na męskie i żeńskie.

przysposobienie wojskowe 36 chłop., 29 dziewcząt
samorząd sierociński.

Przy szpitaliku istnieje ambulatorium, gabinet dentystyczny zainstalowany w Sierocińcu obsługuje nie tylko wyłącznie wychowanków, lecz wogóle młodzież szkolną i osoby z poza zakładu, przeciętnie pacjentów do 100 miesięcznie.

Kąpiele ludowe znajdują się na terenie Sierocińca (wspomniałem o nich w poprzednich rozdziałach), i obsługują w pierwszym rzędzie wychowanków i wychowanki, wszystkie szkoły i ludność wsi.

Istnieją również przy sierocińcu warsztaty szkolne, szewskie i krawieckie, z trzyletnią praktyką, otwarte w roku 1924. Warsztaty mają na celu przygotowanie rzemieślników z pośród wychowanków, mających chęć do pracy w tym zawodzie, celem dania im możliwości zarobkowania po opuszczeniu Siero-



Rada Nadzorcza Spółdzielni.



Koło Gospodyń Wiejskich.

cińca; warsztaty również opędzają potrzeby zakładu, duże, przy tak licznej młodzieży. Do warsztatów, jak również do Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej, mogą być przyjmowani uczniowie z poza Sierocińca. Opłata wynosi:

W Szkole Rzemieślniczo-Przemysłowej: za naukę 5 zł. miesięcznie, za bursę — obliczoną na 40 chłopców — 30 zł. miesięcznie. W warsztatach szewskich i krawieckich 3 złote miesięcznie. Po ukończeniu praktyki człopczy otrzymują świadectwa czeladnicze.

Sierociniec wydaje własne pismo, pod tytułem „Liskowianin“, redagowane obecnie przez doktora Kosińskiego, zawierające w swej treści nietylko wyłącznie informacje dotyczące się życia młodzieży sierocińskiej lecz wogóle z życia Liskowa i jego najbliższej okolicy, tudzież korespondencje ze świata i praktyczne wskazówki gospodarskie. Młodzież zakładu ma do dyspozycji bibliotekę dość bogato zaopatrzoną w dzieła celniejszych polskich autorów; w sali spełniającej dwojakie zadanie — kaplicy i sali teatralnej (odpowiednio zbudowanej) — daje przedstawienia, tam urządzone bywają zabawy oczywiście pod okiem wychowawców. Korzysta z boiska, odpowiednich przyrządów gimnastycznych itp.

Życie wychowanków i wychowanek utrzymane jest ściśle w ramach ustalonego regulaminu.

Do Sierocińca przyjmowane są dzieci od lat trzech, a pozostają w nim do lat osiemnastu, bez różnicy płci, wyznania rzymsko-katolickiego, z pierwszeństwem dla sierót pochodzących z ziemi kaliskiej i województwa łódzkiego.

Wiek — osiemnaście lat — nie jest ostateczną granicą, i młodzież może przebywać nawet dłużej o ile tego wymaga dokończenie nauk lub fachowe przygotowanie do samodzielnego bytu. Wychowanki i wychowankowie zakładu odbywają co pewien okres zjazdy. Ostatni zjazd odbył się w dniach 20 i 30 czerwca odbył się drugi z kolei zjazd, na którym, na

barki spadnie ciężar dźwignia gmachu państwa, dalszego rozbudowywania potęgi, dostojęstwa i szczęścia Odrodzonej Rzeczypospolitej. Naród, który zaniedbuje wychowanie młodzieży, zaniedbuje swoją przyszłość, podcina gałąź, na której siedzą pokolenia, a kto wie... może jego egzystencja wśród cywilizowanych ludów świata. My musimy iść w butach siedmiomilowych, aby dogonić innych. Tego może dokonać tęgi, zdrowy fizycznie i duchowo obywatel. A będzie on takim, skoro go odpowiednio wychowamy. W przeciwnym razie, zaniedbanie pomści się: wyjdą skarłale dusze, zimne serca, słabe ciała. A może też... straszidła w postaci ludzkiej, godzące w honor, w dobre imię swojego kraju nikczemnością postępowania.

Domy sierocińskie, to wielkie świątynie, to przejaw najszlachetniejszych poczynań. Bo dziecko bez ojca, bez matki, wychowane przez ulicę — pomści na społeczeństwie swe zaniedbanie, zmusi je do ponoszenia ofiar stokroć cięższych, na posępne, straszne w swej wymowie... więzienia.

Bo ulica macochą jest, a nędza — popycha w ciemną, brudną, plugawą otchłań występku.

Pamiętajmy o tym zawsze, popierajmy szlachetny czyn: idźmy z wyciągniętą miłością ręką, z sercem gorącym do opuszczonych, bezdomnych i bezrodzicielskich dzieci.

DLA DOPEŁNIENIA OBRAZU

Nie byłby pełnym obraz Liskowa, gdybym nie wspomniał o szkole powszechnej, mieszczącej się w gmachu wzniesionym w roku 1923, oraz szeregu placówek społecznych działających już to na terenie wsi, już to obejmujących gminę lub parafię.

W pierwszym rzędzie szkoła. Jest to wyniosły, piękny naprawdę gmach, położony w najodpowied-

niejszym miejscu, bo tuż przy kościele, z boiskiem sportowym, z ogródkiem, zaopatrzone we wszystkie utensylia szkolne, prowadzona częściowo przez siły świeckie, po części siostry zakonne. Razem ciało nauczycielskie składa się z jedenastu osób pod kierownictwem siostry Kaimowiczówny. W szkole, do której uczęszcza około sześciuset dzieci z Sierocińca i ze wsi, znajdują się organizacje uczniowskie: gmina szkolna, sąd koleżeński, sklepik spółdzielczy, kasa oszczędnościowa, harcerstwo, Czerwony Krzyż, kółko misyjne, kółko introligatorskie, fryzjernia, 2 orkiestry.

Co zasługuje na szczególne podkreślenie, oto rzadko spotykana czystość. Te lśniące podłogi, te porozwieszane w korytarzach widoki, prace dzieci, mile łechcą nasze poczucie piękna, ładu i porządku.

Wię całemu nauczycielstwu, więc kierownicze, należy się tych kilka słów uznania autora, który wszak nie jedną szkołę zwiedził, nie jedno podziwiał, lecz mile był uderzony tym, co spostrzegł w szkole liskowskiej.

Dalej warto podkreślić działalność tak pożytecznych placówek jak: Ogniska Matki i Dziecka, którego początku należy szukać w „zamierzchłych czasach“ w roku 1906. Piękny wiek ma ta placówka. Dziś prowadzone jest pod egidą Koła Gospodyń Wiejskich, na którego czele stoi pani Sprusińska, szczerze oddana swej pracy. Dalej Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem, otwarta w 1931 roku, korzysta z niej przeszło sto dzieci. Nadzór ma lekarz i higienistka, dalej wymienię Kroplę Mleka. W całej parafii niema ani jednego dziecka do lat dwu, któreby było pozbawione mleka i cukru; zdrowotność podniosła się bardzo znacznie i bodaj stoi na jednym z pierwszych miejsc.

Ośrodek Zdrowia otwarty został w roku 1933, przyjmuje chorych trzy razy tygodniowo: na oczy,

choroby skórne, — bezpłatnie. Pacjentów przybywa do 400 osób tygodniowo, przeważnie na oczy (nie-szczęсна jaglica).

Przytułek dla starców i kalek posiada dwie izby w domu gminnym.

Remiza Strażacka, zbudowana w roku 1925, dla oddziałów straży wsi i Sierocińca.

Świetlice (2 męskie i jedna żeńska) dla młodzieży, oraz biblioteka i czytelnia.

Przy Domu Ludowym skupiają się następujące organizacje: Kółko Rolnicze, którego prezesem jest p. Piątkowski, Koło Gospodyń Wiejskich, Związek Rezerwistów, Akcja Katolicka, Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Żeńskiej, Związek Strzelecki, Czerwony Krzyż, Przysposobienie wojskowe, Chór, Orkiestra, Kółko Dramatyczne, wystawiające dość często sztuki.

We wsi i w Sierocińcu częściowo zaprowadzono kanalizację, wodociągi, i jest 7 studni artyzejskich. Lisków posiada elektryczne oświetlenie, zaprowadzone dość dawno. Obecnie Lisków przywdziewa odświętną szatę na przyjęcie spodziewanych gości z całego kraju. Trotuary, granitowa kostka, powstają nowe domki w stylu nowoczesnym. W roku bieżącym dokańcza się nowy budynek Domu Ludowego z salą na kilkaset osób, sceną i odpowiednimi ubikacjami, kosztem blisko dwudziestu tysięcy złotych. Skąd się na to biorą pieniądze? — Bo ja wiem!... Dość że się buduje, a tajemnica zdobywania środków tkwi w energii niezwykłego człowieka. W roku ubiegłym też, dokonano odnowienia kościoła, co wykonał artysta malarz, uczeń Mehoffera, sławnego Mehoffera, p. Siemianowicz. Malowidła oparte na motywach ludowych, w których rozmiłowany jest stary, europejskiej sławy mistrz, pociągają swoim kolorytem, utrzymanym jednak w tonie spokojnym, harmonijnym w całości. Będzie to naprawdę rzecz niepospolita, pozbawiona banalizmu, szablonu, nie-

stety, dość często spotykanego w naszych kościołach i kościółkach. Świetnie wypadła partia w prezbiterium, gdzie artysta wysilił cały kunszt malarski, aby otrzymać efekt wręcz znakomity. Główki aniołów mają tyle słowiańskiego wyrazu, skojarzonego z uduchowieniem, tyle uroku prostoty, słodczy niewinności i świętości, że chwytają za serce. Artysta dość szczęśliwie rozwiązał zagadnienie najtrudniejsze bodaj, powstałe z prymitywizmu konstrukcji — zagadnienie sklepienia ciężkiego, zwisającego bezwładnie.

Kościół w Liskowie będzie jedną z nielicznych świątyń, mogących się poszczycić wnętrzem tchnącym swojskim urokiem, przyodzianym w szatę wysoce artystyczną. Wnętrze to przemawia najlepiej do naszej psychiki.

PRZED DWUNASTOMA LATAMI

Przed dwunastoma latami, po dwudziestu pięciu latach pobytu ks. Blizińskiego na probostwie w Liskowie, urządzona została wystawa „Wieś Polska“, która ściągnęła tysiące zwiedzających żądnych obejrzenia i Liskowa i dobrobytu wsi polskiej w znaczeniu zbiorowym. Wystawa mimo nie sprzyjającej pogody przecież spełniła swoje zadanie, dając przegląd dorobku wsi polskiej, dorobku znacznego. Duże ma przed sobą drogi i wieś i jej mieszkańiec, chłop polski, by osiągnąć chociażby poziom kultury rolnej naszych zachodnich pobratymców-Czechów, wiele wody upłynie w rzekach polskich, nim dojdziemy do dobrobytu chłopu czeskiego, nie mówiąc o innych, do jego skali życiowej, rozszerzenia i pogłębienia potrzeb naszego obywatela ze wsi — polskiego chłopca.

Wystawa przed dwunastoma latami spełniła swe zadanie, co potwierdza opinia wojewody łódzkiego brzmiąca: „Jeżeli chodzi o korzyści moralne wy-

stawy, to przeszły one oczekiwania. Była to jednym słowem znakomita szkoła społeczno-państwowa, szczególnie dla naszych kresów wschodnich o czym świadczyły ich pełne entuzjazmu przemówienia i liczne korespondencje z zapytaniami jak założyć spółdzielnię“.

Mimo dość opóźnionych przygotowań wystawę „Wieś Polska“ w Liskowie, zdołano przygotować ściągając znaczną liczbę wystawców i eksponatów. Rozpadała się na działy:

Cukierniczy, wyrobów aluminiowych, włókienniczy, tkacki, pszczelniczy, koszykarsko-meblowy, księgarski, maszyn rolniczych, narzędzi rolniczych, mleczarski, budowlany, ubezpieczenia od klęsk żywiołowych i od wypadków w rolnictwie, jedwabniczy, przetwory owocowe (Kruszwica, Hakowski) hodowlany, obejmujący kilka specjalnych sekcji tyczących różnych objawów i rozwoju hodowli, ogrodniczy, wydawniczy (prasowo-propagandowy), etnograficzny, z folklorem, kulturalno-oświatowy, walki z alkoholizmem, higieniczny.

Protektorat wystawy objął ówczesny premier i minister skarbu, Władysław Grabski, oraz ministrowie: rolnictwa, przemysłu i handlu, komunikacji i pracy i op. społ. Wystawę odwiedził w dniu 25 czerwca Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski w towarzystwie ministra pracy Darowskiego, woj. łódzkiego, generalnego adiutanta P. Prezydenta, generała M. Zaruskiego i wiele innych oficjalnych osobistości, w dniu tym z racji przybycia do Liskowa Głowy Państwa, ściągnęli do Liskowa okoliczni starostowie oraz burmistrz, prezydenci miast i wójci; był również J. E. ks. biskup Owczarek, sufragan włocławski z kilku duchowieństwa.

Zwiedzających przewinęło się w ciągu trwania wystawy, t. j. od 18/VI. do 5/VII. 41 tysięcy (podają okrągłe liczby), wycieczek przybyło z różnych zakątków kraju — 371, wystawców — 237, odzna-

czeń i nagród rozdano — 18, w tej liczbie od ministra rolnictwa 26 nagród, Centralnego Towarzystwa Rolniczego 20, koszta wystawy wyniosły 141,755 zł. w co należy wliczyć sumy przekazane na dokończenie trwałych inwestycji (szkoły powszechnej, budynków gospodarczych w Sierocińcu), deficyt wynosił — 38,310 zł, pokrył go sejmik powiatu kaliskiego.

W skład Komitetu Wystawowego wchodzili:

Starosta ówczesny powiatu kaliskiego — Zdzis. Stefański, — przewodniczący, Jerzy Kleczyński, — sekretarz, Antoni Piątkowski i Henryk Jankowski członkowie.

Ze wszystkich działów bodaj czy nie najwięcej ścigał na siebie uwagi dział etnograficzny z bajecznie kolorowymi strojami, wyrobami przemysłu ludowego, odbijającego duszę naszego ludu jej tęsknoty, rozmiłowanie w pięknie, w konglomeracie okazów, w rzeźbach, zdobnictwie, wycinankach, przemawia do nas bogactwo pomysłów, kunsztowność wykonania — jednym słowem to, na co składają się wieki bytu w danych warunkach, okolicznościach i t. d.

Trzeba mieć nadzieję, że i będąca w toku przygotowań wystawa nie zawiedzie, że zademonstruje dalszy etap w rozwoju wsi polskiej.

Inicjatywa urządzenia wystawy wyszła oczywiście, jak wiele na tutejszym gruncie, a bodaj nawet wszystkie — od ks. prałata Blizińskiego. Dzięki poparciu i współdziałaniu starosty kaliskiego, p. Ostaszewskiego, przychylnemu ustosunkowaniu się Izby Rolniczej, Organizacji Rolniczych, miejscowych placówek ekonomicznych — wystawa projektowana na połowę lata bieżącego roku zapowiada się dobrze. Przewidywany budżet przekroczy zapewne sumę sześćdziesięciu tysięcy złotych, na co już jest częściowe pokrycie z zadeklarowanych przez różne instytucje sum, dochodzących w momencie pisania niniej-

szej książki do trzydziestu tysięcy złotych. Wystawa obejmie przypuszczalnie następujące działy: organizacyjny, spółdzielczy, rolny, opieki społecznej, kultury i sztuki ludowej, rozrywek, i t. d.

Postanowiono zaprosić Pana Prezydenta jako Dostojnego Gościa, a Premiera Składkowskiego na protektora wystawy, ponieważ P. Premier jest posłem ziemi kaliskiej. Na przewodniczącego Komitetu Honorowego — p. Ministra Poniatowskiego ad personam, na członków Komitetu Honorowego pp. ministrów: Rolnictwa, Spraw Wewnętrznych, Oświaty i Wyznań Religijnych, Opieki Społecznej, Komunikacji, ad personam, (p. pułkownika Ulrycha), wice-min. Opieki Społecznej, ad personam, (dr. Piestrzyńskiego), ks. biskupa Radońskiego, ks. biskupa Jasińskiego, woj. łódzkiego, p. generała Żeligowskiego, b. Prezydenta R. P. St. Wojciechowskiego, p. Z. Chmielewskiego, prezesa Związku Izb i Organizacji Rolniczych i prezesa Centralnego Tow. Ogr. i Kółek Rolniczych.

Przewodniczącym Komitetu Wystawy został starosta kaliski, p. Ostaszewski, pp. ks. prałat Bliziński i Antoni Piątkowski, wiceprzewodniczącymi p. Sprusińska — sekretarką. Komitet Wystawy ma prawo kooptacji.

* * *

Że Lisków ostatnimi laty szedł coraz (szybszym krokiem ku wyższemu szczeblom organizacji, że przybierał wygląd wsi zbliżającej się do Europy Zachodniej, zawdzięczać można wiele i miejscowemu społeczeństwu, i dobrym intencjom samorządu miejscowego tudzież powiatowego — oraz władzom powiatowym darzącym zawsze, od samego początku niepodległości, niezależnie od zmian na stanowiskach, wyjątkową wieś wyjątkowymi względami. Te względy, tę sympatię należy podkreślić i u obecnego starosty, zresztą — świętego gospodarza na swoim

odcinku kraju — człowieka, łączącego w sobie walory sumiennego urzędnika z zaletami charakteru. I nie zdawkowa grzeczność dyktuje tych kilka słów, lecz chłodna analiza spostrzegacza zjawisk społecznych i politycznych.

Chyba i starosta Ostaszewski przyjmie tych kilka ciepłych słów nie za fałszywą monetę, za drobnicę lukrecjowych słówek, lecz za wyraz szczerego uznania.

ZAKOŃCZENIE

Polska przeżywa okres przeobrażeń; przeżywa go wraz z innymi narodami, boć nie leży na księżycu, ani nie jest odgradzona chińskim murem od wpływów zewnętrznych, oddziałowujących na psychikę Narodu. Klębią się interesy społeczne, szamocą się siły częstokroć wrogie sobie, kształtuje się nowy układ stosunków, świat szuka wyjścia z załamania się gospodarki dotychczasowej. Jakąkolwiek drogę rozwojową wybierze Polska, długie lata prowadzić ona będzie przez wieś, bowiem tam ukryta jest potęga milionów dusz, milionów rąk, serc przywiązanych na śmierć i życie do ziemi, będącej dla tych milionów nie tylko problemem majątkowym, lecz problemem uczucia, ich być albo nie być. Atoli wielkich zagadnień nie rozstrzygnie się największym wysiłkiem jednostek, one muszą znaleźć zrozumienie u czynników, którym los złożył w ręce możliwość rozstrzygania, kierowania i prowadzenia narodu.

Historia Liskowa to pogładowa lekcja czego może dokonać energia, siła woli, inicjatywa a nade wszystko wytrwałość. Należy te cnoty przeszczepić wszystkim obywatelom, rozbudzić w nich ambicje tworzenia, szlachetną rywalizację pracy — ale należy również wsłuchiwać się w tętno życia, wyciągać

trafne wnioski, bez czego wszelkie wysiłki będą błędzeniem poomacku.

W każdym człowieku, w każdym z nas tkwi zaród przyszłego układu stosunków i przyszłego szczęścia lub niedoli, w każdej najlichszej wioszczynie mogą stać się rzeczy wielkie, czego przykładem jest zacytowana ongiś wieś, o której ks. kan. Weryński, jeden z wybitniejszych publicystów i literatów duchownych w swym reportażu słusznie określił jako upostaciowanie twórczego katolicyzmu. „Bo niema małych placówek, są tylko mali ludzie“.

Na tym kończę opowieść o jednej wsi polskiej i... odkładam pióro.

Lisków, dnia 24 stycznia 1937 roku.



SPIS RZECZY

Część I-sza

	Str.
Przedmowa Autora	5
Na przełomie	13
Ks. Wacław Bliziński	19
Lisków	22
Pod berłem Białych Carów	28
Gospodarz	35
Wzajemne ubezpieczenie od pożaru	44
Warsztaty tkackie	51
Kółko Rolnicze	55
Dom Ludowy	59
Straż ogniowa	68
Szkoła Rolnicza	69
Mleczarnia Spółdzielcza	74
Kapiele ludowe	77
Warsztaty zabawkarskie	80
Walka o duszę polską	81
Okres wielkiej wojny	93

Okres II-gi

Za linią okopów	103
Gimnazjum	105

Okres III-ci

W Polsce Niepodległej	111
Seminarium Nauczycielskie	111
Kursy praktyczno-zawodowe dla dziewcząt	112
Szkoła Rolnicza w Liskowie, okres drugi	116
Stałe kursy mleczarskie	119
Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa	120
Bank Ludowy	124
Kasa Stefczyka	125
Sierociniec św. Wacława	126
Dla dopełnienia obrazu	139
Przed dwunastoma latami	142
Zakończenie	146